NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 30 września 1905 r. Nr. 40.

Okrucieństwa moskiewskie w koszarach pogranicznych.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Od Administracyi.

Z niniejszym numerem ukończył się III. kwartał. Prosimy zatem uprzejmie P. T. naszych Abonentów o wczesne odnawianie prenumeraty, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma.

Prenumerata do końca roku już wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 4 kor.

Wszyscy nowoprzystępujący Prenumeratorzy otrzymają bezpłatnie początek drukującej się obecnie w naszem piśmie senzacyjnej, oryginalnej powieści p. t.

„Bojownicy“

osnutej na tle obecnych wypadków w Królestwie Polskiem.

Okrucieństwa moskiewskie w koszarach pogranicznych.

(Do illustracyi tytułowej).

Jakby na urągowisko — właśnie w czasach, gdy Rosya pragnie w świat wmówić, iż przekształca się w państwo konstytucyjne, mnożą się dowody świeże, iż carat po dawnemu pozostał strasznym barbarzyńcą azyatyckim i w dalszym ciągu postępuje na każdym kroku dziko i okrutnie do tego stopnia, że w krajach cywilizowanych dzisiaj — na początku XX. stulecia chrześciańśtwa — ludzie wiary dać nie chcą wieściom, jakie nadchodzą z państwa, wprowadzającego u siebie coś na kształt parlamentaryzmu. Zaiste zgrozą przejęły wszystkich świeże wiadomości o wypadkach, jakie się zdarzyły 19 września na granicy rosyjsko-austryackiej, w niedalekiej od Krakowa wsi Kocmyrzowie.

O wieczornej porze objeszczyk pograniczny spostrzegł kilku przemytników spirytusu i strzelił do nich. Dwóch z nich uciekło, zostawiając na miejscu rannego towarzysza. Był to mieszkający od roku w Galicyi królewiak, Jakób Król. Strzały karabinowe wszczęły alarm wokoło. Z pastwiska sąsiedniego zaczął więc też uciekać chłopak kilkunastoletni, niejaki Duda z Łuczyc. Lecz pochwyciła go straż rosyjska, choć był Bogu ducha winien — i wraz z rannym Królem zawlokła ich do swych koszar, gdzie posiepaki moskiewskie wzięły się do roboty po swojemu.

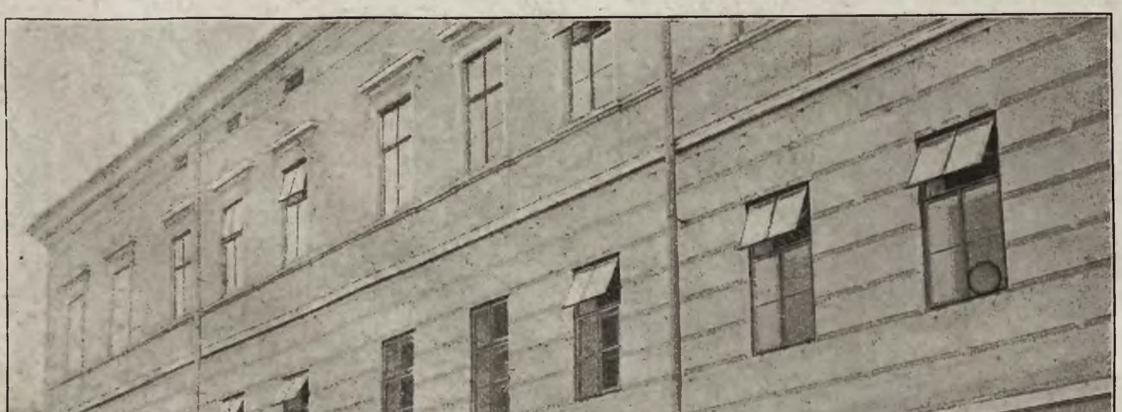
Ze strony austryackiej widziano przez okna tortury, jakie zadawano w kazamacie aresztowanym. Osoby wiarygodne zapewniają, że moskale bili ich po piętach do krwi stalowemi stemplami od karabinów, podpiekali nieszczęsnym podeszwy świecami, a Króla ułożono wreszcie na znak i po deskach skakano mu po piersiach. Kiedy jęki i krzyki ofiar katowanych słychać było nocą daleko, wylegli chłopi od strony Królestwa i zaczęli ciskać kamieniami w okna. Wówczas wypadli sołdaci i naoślep strzelali na ostro z karabinów: nie wiadomo, czy kogo nie zraniono na gościńcu po stronie galicyjskiej, po którym kule latały gęsto. Dopiero nazajutrz w południe „rabiata“ pohulawszy sobie po moskiewsku, zaniosła biednego Króla z poparzonemi i pokaleczonemi nogami przed komendanta, który odstawić go kazał do Miechowa, wypuściwszy Dudę, niewinnie skatowanego.



Nowy komendant korpusu przemyskiego: Generał-porucznik Artur Pino von Friedenthal.

Oto zdarzenie, o którem przypadkiem świat się dowiedział, gdyż zbóje moskiewskie, snać po pijanemu, nie żenowały się swoich okrucieństw, mimo, że się to działo na granicy. Ale ileż takich krwawych, strasznych scen widują co dzień tylko grube mury więzień rosyjskich w głębi kraju — o czem, niestety, trudno się w porę dowiedzieć...

Nasza rycina przedstawia chwilę turtur w koszarach pogranicznych, ale żaden obraz nie da pojęcia o tem, co się działo w duszy tych, niewinnie katowanych ofiar...



Szkoła w suterenach: Budynek gimnazyum samborskiego, widziany z boku, z oknami suteren, w których mieszczą się dwa oddziały II. klasy.

Szkoła w suterenach.

Stała się rzecz niesłychana i w świecie cywilizowanym wprost nieprawdopodobna. To też, gdybyśmy nie byli jej sprawdzili na miejscu, nie bylibyśmy uwierzyli dziennikom, które tę wiadomość podały. Oto ni mniej – ni więcej, tylko jest w naszym kraju miasto, które dla małych dzieci urządziło lokale szkolne... w suterenach!

Dzieje się to mianowicie w Samborze, gdzie pomimo protestów dyrektora zakładu, a z polecenia inspektora, pomieszczono w tym roku szkolnym niższe klasy gimnazyum męskiego w podziemiach wilgotnych — z powodu braku miejsca na piętrach. Więc nie dość nam wstydu, że Galicya słynie jako typowy kraj analfabetów: trzeba było jeszcze tak skandalicznego faktu, by nasi niemieccy przyjaciele mieli jeden dowód więcej, iż nie bez słuszności — niestety — przezwali Galicyę *„Bärenlandem“*... To też będzie teraz uciecha wśród hakatystów, że mogą nam ćwierkać bezkarnie w oczy naszą niekulturalnością i niehumanitarnością... Gdybyż to się było stało lat temu kilkadziesiąt wstecz: ale dziś, kiedy wychowawcy wszelkich krajów radzą wciąż nad polepszeniem warunków zdrowotnych w szkolnictwie, a nasza Rada Szkolna udaje, że pragnie brać również udział w tej pożądanej działalności — znaleźli się przecież c. k. austryacko-galicyjscy pedagogowie, którzy poważyli się narażać do tego stopnia zdrowie przyszłych obywateli kraju, iż kazali im przez szereg godzin codziennie — i to w wieku młodocianym, w porze rozwoju chłopięcego — wdychiwać w siebie zatęchłe powietrze wilgotnych murów suteren...

Załączone tu illustracye uwiecznily gmach kulturanego gimnazyum w Samborze. W suterenach mieści się klasa II b — trzy okna pierwsze od rogu licząc, od krzaka, widocznego na rycinie, oraz klasa II c — trzy okna następne.

Nowy komendant korpusu przemyskiego.

Garnizon przemyski zyskał sobie w Galicyi bardzo smutną sławę. Szczególnie, kiedy na czele korpusu przemyskiego stał jenerał Galgotzy, dochodziło tam niejednokrotnie do ostrych i niemiłych w następstwa scysyi między ludnością cywilną a wojskiem. Jenerał Galgotzy, aczkolwiek pod względem wiedzy i zdolności strategicznych jeden z najznakomitszych jenerałów, miał jednak tę wadę, że nie umiał zachować dobrych stosunków z ludnością cywilną. Następca jego, jenerał-zbrojmistrz Karol Horsetzky, okazał się już innym. Za jego rządów antagonizm między ludnością a wojskiem znacznie osłabł, stosunki się poprawiły, nie przychodziło już do awantur między „cywilami“ a wojskowymi, które za czasów Galgotzy'ego głośnem rozbrzmiewały echem w całej prasie galicyjskiej.

W ubiegłym tygodniu otrzymał jenerał Horsetzky zwolnienie z komendy korpusu przemyskiego. Otrzymał je na własną prośbę, z powodu złego stanu zdrowia. Przez czas swoich rządów zdołał on sobie jednak pozyskać uznanie i powszechny szacunek w Przemyślu, ustępuje więc teraz, żegnany z żalem nietylko przez swoich podwładnych, wojskowych, ale i przez całą ludność przemyską.

Komendantem korpusu X. został w jego miejsce jenerał-porucznik Artur Pino von Friedenthal, dotychczasowy szef sekcyi w ministerstwie wojny. Nowy komendant ma przed sobą zadanie, znacznie już ułatwione przez taktowne rządy swego poprzednika, mianowicie usunięcie wszelkich antagonizmów między wojskowymi a cywilami. Mamy nadzieję, że jenerał Pino energią swoją i taktem zdoła naprawić to, co zepsuł jenenał Galgotzy i że w Przemyślu nastanie wreszcie zgoda między wojskiem a ludnością.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię nowego komendanta korpusu przemyskiego, jenerała Pino.

Nowy naczelnik dyrekcyi skarbu w Krakowie.

Kraków ma żywo w pamięci wdzięcznej, swego prezydenta miasta, śp. dra Feliksa Szlachtowskiego. Z przyjemnością tedy dowiedzieli się Krakowianie przed tygodniem, iż syna właśnie tego zasłużonego obywatela powołano na wysoki urząd naczelnika skarbowości w naszem mieście.

Dr. Stanisław Szlachtowski, którego portret

znajdą czytelnicy w niniejszym numerze „Nowości“, ukończywszy w swym rodzinnym grodzie w r. 1877 Uniwersytet Jagieloński, przeniósł się zrazu do Lwowa, gdzie przez dwa lata pracował w prokuratoryi skarbu, która wysłała go następnie do swojej tutejszej ekspozytury. W Krakowie pozostał tylko do kwietnia r. 1881, poczem udał się na jednoroczną praktykę sądową do Insbrucku. Jednakże już w połowie roku 1882 powołał go do Wiednia ówczesny minister skarbu, JE. dr. Julian Dunajewski do biur swego ministerstwa, gdzie młody urzędnik zwrócił wkrótce uwagę powszechną na swe zdolności, pracując pod ręką niezapomnianego reformatora skarbowości w Austryi.

W dwanaście lat później, już jako starszy radca skarbowy objął dr. Szlachtowski nowo utworzoną dyrekcyę okręgu skarbowego w Wadowicach, gdzie w ciągu lat jedenastu zdołał sobie na trudnem stanowisku zaskarbić sympatyę powszechną, zarówno wśród urzędników, jak i wśród kół obywatelskich w mieście i w okręgu, czego między innymi dowodem również, wybranie go na członka wadowickiej Rady gminnej.

Dnia 20 września br. objął radca dworu dr. Stanisław Szlachtowski urzędowanie w starym gmachu na Kanoniczej, jako nowy naczelnik krakowskiej dyrekcyi okręgu skarbowego, w dwa dni później zaś odbyło się uroczyste powitanie zwierzchnika przez gremialnie zebranych urzędników całego okręgu, przedstawianych panu radcy dworu przez radcę skarbowego Peterscha. W odpowiedzi na jego przemówienie zaznaczył nowy naczelnik, że staraniem ogółu urzędników i instytucyi powinno być zyskanie zaufania do urzędu, co się da osiągnąć przez sumienne i sprawiedliwe stosowanie ustaw i gorliwe wypełnianie obowiązków.

Zgon dra Edwarda Sas Korczyńskiego.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Krakowie lekarz, który wiedzą swoją, nauką i doświadczeniem zdołał uzyskać sobie nietylko w kraju, ale i zagranicą, wśród kół naukowych i wśród szerokiej publiczności, niezwykłe uznanie i poważanie. Mówimy o śp. drze Edwardzie Sas Korczyńskim. Śp. Korczyński urodził się w roku 1844 w Dobromilu w sanockiem; szkoły kończył w Rzeszowie i Krakowie, gdzie w r. 1868 otrzymał doktorat medycyny. Przez jakiś czas był lekarzem wolno praktykującym w Dębicy, poczem powołany został na asystenta kliniki chorób wewnętrznych do Krakowa. W roku 1871 został prymaryuszem oddziału chorób wewnętrzych w szpitalu św. Łazarza, a w trzy lata później zwyczajnym profesorem patologii i terapii szczegółowej, oraz dyrektorem kliniki lekarskiej, którą to godność piastował do ostatniej chwili.

Najważniejsze zasługi na stanowisku profesora położył śp. Korczyński w pracy nad ulepszeniem urządzeń w swojej klinice. Jego to głównie staraniem wzniesiono przed kilku laty nowy gmach i otwarto nową klinikę, wyposażoną w najnowsze przyrządy i urządzenia.

Oprócz profesorskiej, rozwijał śp. Korczyński owocną działalność społeczną i naukową. Przez kilka był radcą miejskim w Krakowie, w Tow. lekarskiem dwukrotnie był wybierany prezesem, wreszcie on stworzył prawie komisyę lekarsko-przemysłową, która wielkie oddała usługi przemysłowi krajowemu w zakresie lecznictwa i zdrojowisk.

W roku 1889 piastował godność rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo tak trudnych obowiązków i olbrzymiej praktyki, znajdował śp. Korczyński jeszcze czas na prace naukowe, których cały szereg ogłosił w fachowych pismach polskich i niemieckich. Zorganizował też bardzo dla naszej medycyny ważne wydawnictwo wybitnych dzieł lekarskich. Taka wszechstronna działalność zjednała mu uznanie i za granicą. Mnóstwo towarzystw lekarskich mianowało go członkiem honorowym.



Zgon dra Edwarda Sas Korczyńskiego: Zmarły w ubiegłym tygodniu lekarz dr. Edward Sas Korczyński.

W uzupełnieniu artykułu podajemy fotografię znakomitego profesora, oraz zdjęcie z pogrzebu w chwili przemówienia prorektora dra Krzymuskiego.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Zgon dra Edwarda Sas Korczyńskiego: Kondukt pogrzebowy przed domem żałoby przy ulicy Łobzowskiej podczas przemowy prorektora dra Krzymuskiego.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

18 (Ciąg dalszy).

— Udało się wam?

— Pojechałem do kopalń naftowych, sam byłem robotnikiem i zorganizowałem partję.

— Takiego nam trzeba, dobrze... a wy poddany austryacki? bo na nich zwraca uwagę policya.

— Należę do państwa rosyjskiego.

— Więc po co mnie pytacie? Zabierajcie wasze manatki, uwieście się przy jakiej fabryce i róbcie.

— To sam wiedziałem — uśmiechnął się — ale idzie o to, abym działał w porozumieniu i nie tracił czasu na szukanie dróg już odkrytych.

— Bardzo słusznie, właśnie miałem dać wam adres — wyjął notatnik z bocznej kieszeni — hm... wy chemik, może znajdziecie miejsce w Warszawie, ale prędzej w Łodzi albo Pabianicach.

— Mogę być na razie bezpłatnym praktykantem — wyjaśniał Żalecki.

— Co? Macie środki?

— Jakie trzydzieści rubli miesięcznie.

— Krezusie — śmiał się — możecie żyć jak pan i mieć wolne ręce. Doskonale, z was prawdziwy skarb dla partyi! Chemik i ma na życie! Dam wam pysznego człowieka. Otóż na Lesznie, pomiędzy Wronią a Placem Wolskim, znajdziecie sklepik Maryi Postój, zajdziecie tam i spytacie o Wojciecha Kubalskiego. Z tym poznajcie się, powiecie, że mówiliście ze mną... resztę niech wasza dusza dośpiewa sobie, a ręce zrobią.

— Dziękuję wam, pozwolicie, że zapiszę adresy, mogę zapomnieć, bo wyjadę dopiero za kilka dni.

— Dobrze... ale przed Granicą...

— Zniszczę, wiem — zapisał, a gdy skończył — to jedna sprawa, teraz druga.

— Słucham, a jeśli tak dobra, jak pierwsza, dam wam pocałunek braterski.

— Idzie o kobietę... wczoraj poznaliście ją.

— Czy ta wyższa? ładniejsza?

— Tak, o koleżankę Olgę. Pragnie ona pracować, jestto szczera, szlachetna natura, i zdaje mi się, lepsza od otoczenia swego.

— Hm... kobieta? — skrzywił się — jeszcze na posyłki, na przeszpiegi, ale trzeba znać teren. Co ona umie?

— Co zwykle panny dobrze wychowane umieją, trochę języków, może muzykę...

— Uważacie, ona powiększy gromadę gadających, a zależy wam na niej?

— Nie mówiłbym o niej.

— Racya... Czy ma pieniądze?

— Zdaje się, że ma.

— A jej nazwisko?

— Wojtyrska, z Petersburga.

— Czy nie córka Aleksandra? Lizusa?

— Nie wiem.

— Gniazdo nieszczególne... Czy jesteście jej pewni?

— Ręczę, jak za samego siebie.

— Hm... tak się mówi tylko o żonie lub kochance... no, nie chmurzcie się, jestem starszy od was, znam kobiety. Czegóż ona chce?

— Być pożyteczną.

Paweł przeszedł się kilka razy po pokoju i stanąwszy przed Żaleckim:

— Wiecie... na razie nie mogę nic powiedzieć... dużo zależy od stosunków towarzyskich, które może mieć w Warszawie. W każdym razie, wy, będąc na miejscu, znajdziecie dla niej pole pracy.

Zapukano do drzwi lekko, a Paweł idąc, aby drzwi otworzyć, rzekł:

— Ki dyabeł puka?

Otworzył i przed drzwiami zobaczył Olgę.

— A to wy... proszę... co was sprowadza?

— Jesteście, kolego, tutaj? — rzekła zdziwiona — nie sądziłam...

— Siadajcie, bo drabina na trzecie piętro męczy — zapraszał Paweł, wskazując na krzesło. — Właśnie mówiliśmy o was. Czy wy córka Aleksandra Wojtyrskiego?

— Tak jest — zarumieniła się.

— To zresztą uboczne pytanie. Mówił mi pan Bolesław, że zamierzacie wziąć czynny udział w polskiej partyi.

Spojrzała z wdzięcznością na milczącego Żaleckiego i zwracając się do Pawła:

— Tak jest... i w tym celu przyszłam.

— Mówiłem, że gdy pan Bolesław będzie w Warszawie, sam znajdzie dla was robotę.

— To wy jedziecie, kolego? — zdziwiła się.

— Jadę.

— Kiedy?

— Za kilka dni, a na wszelki wypadek chciałem mieć informacye dla was.

— Dziękuję wam... prawdopodobnie za dwa, trzy tygodnie będę w Warszawie, lecz wpierw muszę uregulować moje stosunki.

— A wy wiecie, panno Olgo, że to gra niebezpieczna?! Wy, jako poddana rosyjska, możecie zawisnąć na szubienicy, mimo wszelkie protekcye... no i zaszkodzicie waszemu ojcu w karyerze.

— Wiem... to mnie nie przestrasza.

— Czy macie środki utrzymania?

— Przypuszczam, że będę miała.., będę zresztą u krewnych.

— Możecie mi powiedzieć u kogo?

— Cioteczna siostra mojej matki jest za Sudkiewiczem.

— Czy ten z kancelaryi generał-gubernatora?

— Tak jest.

— A więc dobra nasza — zawołał Paweł wesoło — u was będzie skład główny broni rewolucyjnej, ani żandarmerya, ani policya nie wpadnie na myśl, aby kamerjunker, urzędnik generał-gubernatora przechowywał u siebie „rewolucyonnyje bumagi i buntowszczyków“! I owszem, jedźcie. Za pośrednictwem pana Bolesława otrzymacie wiadomość, kiedy i w jaki sposób, nadejdzie transport.

— Dobre i to — zaczęła Olga — ale...

— Jakie znów ale? — stanął Paweł przed nią.

— Jestto rola bierna, wypełnię ją chętnie i sumiennie, pragnęłabym jednak wziąć czynny udział w skruszeniu despotyzmu.

— Wy, czynny udział? — przeszedł się po pokoju, zapalił papierosa. — Trudno mi powiedzieć coś pewnego; gdybyście mieli fach jaki w ręku, moglibyście zająć się organizacyą fachową... przynajmniej to ułatwiłoby wam niezmiernie i nie ściągnęlibyście podejrzeń. Ostatecznie możecie się uczyć, chociaż i to nie. Siostrzenica pana Sudkiewicza, córka radcy dworu, nie może się uczyć w pracowni wspólnej, tylko zababralibyście całą sprawę. Stanowczo odradzam wam tego.

— Panie Pawle — powiedziała śmiało, chociaż widać było, że to ją kosztuje — robicie mi chyba z umysłu trudności, bo we wszelkich spiskach kobiety są bardzo potrzebne. Przypomnijcie sobie Perowską.

— Wiem o tem, panno Olgo, kobiety są nawet konieczne w takich sprawach, tylko nie do organizacyi, ale do wykonania określonych zadań czy rozkazów, lecz wpierw partya musi nabrać przekonania o zdolnościach, charakterze i sile woli danej kobiety. Na to trzeba czasu i doświadczeń. Wy będziecie się obracali w sferach, do których nam trudno się dostać, a to jest już dużo dla nas. Możecie mieć wiadomości, od których zawisło życie naszych towarzyszy, możecie przez protekcyę ulżyć losowi wielu towarzyszów, czyż to pracy i zasługi dla was jeszcze za mało? Spełnijcie tylko waszą misyę, a będziecie mieli większe zasługi, aniżeli gdybyście zawiązali kilka organizacyi.

— Nie wiem, czy się nadam do tej roboty — wahała się — takie mam obrzydzenie do szpiegostwa.

Stanął przed siedzącą i wpatrując się w nią:

— Słuchajcie, panno Olgo... Jeśli wiecie, że na waszej drodze musicie spotkać opryszków, doskonale uzbrojonych, czy pójdziecie z gołemi rękami? czy nie postaracie się o taką samą broń, jeśli nie lepszą? Oni są uzbrojeni w szpiegów, donosicieli, ajentów tajnych, używają przekupstwa, groźby, męczarni, mordów... Czyż my, jak baranki, mamy oddać się im na pastwę w imię urojonej szlachetności? To walka na śmierć lub życie, to nie są teoretyczne spory, akademickie sprzeczki, to bój i biada zwyciężonym. Każdego tu z nas wysłaliby na szubienicę, a wy się wahacie? nachodzą was wątpliwości?! Ależ tu nie idzie o was, o nas, o tych, którzy dziś walczą, idzie o ideę, tej służycie, nie ludziom, nie partyi.

Gdy Paweł umilkł, odezwał się Żalecki:

— Rozumiałbym wasze wzdragania, gdybyście działali dla korzyści materyalnej waszej lub bliskich, ale wasza droga prowadzi was wprost do więzienia... a w najlepszym razie na wygnanie.

Olga patrzała to na jednego, to na drugiego i powstrzymując westchnienie:

— Jeśli uważacie obydwaj, że moja służba będzie korzystna dla naszej idei, zgoda, spełnię sumiennie, o ile potrafię i będę mogła.

— A więc wszystko ułożone i skończone, teraz jednak mdłe ciało moje potrzebuje posiłku, aby duch nie zmarniał, jak mówi dobry Jonatan.

Wyszli wszyscy i Paweł zaproponował wstąpienie do najbliższej kawiarni. Olga spojrzała na zegarek i odmówiła:

— Jeszcze zdążę na wykład... a przed waszym wyjazdem zobaczę was, kolego, nieprawdaż?

— Na pewno... dam wam zresztą znać, gdy Walczak powróci.

— Dobrze — i pożegnawszy się, szła w kierunku uniwersytetu, rozmyślając nietylko nad powziętem swojem postanowieniem, ale niepokojąc się podróżą Heleny i Walczaka.

Na skręcie jednej przecznicy, spotkała się oko w oko ze Schweigerem, Waldmanem i Matyldą Eisenfach. Ominąć, nie widzieć, było niepodobieństwem, skinęła głową, mówiąc:

— Dzień dobry koleżance i kolegom.

— No tak, my koledzy, ale tylko uniwersyteccy — zaśmiał się Waldman — a takie, czy żadne koleżeństwo, wszystko jedno.

Olga poczerwieniała i rzekła oschle:

— Nie narzucam się wcale z koleżeństwem.

— Jakże się wam, koleżanko Wojtyrska — zaczęła Eisenfach złośliwym tonem — podobała nowa suknia, czy wam w niej do twarzy? czy dobra do figury?

— Jaka suknia? — zdziwiła się Olga.

— No, ta skrojona przez krawców partaczy — zaśmiała się drwiąco — a może i tej nie nosicie już, co wyszła z rąk szowinistycznych P. P. S.? Wy lubicie zmieniać suknie.

Olga stanęła dumnie i przystanęła, chcąc się uwolnić od towarzystwa; ale Waldman i Eisenfach nie myśleli porzucić tak lekko przyjemności dokuczania i wyśmiewania stronniczki P. P. S. Zaciekłość, właściwa rasie semickiej, wzięła w nich górę, a Waldman z głośnym śmiechem:

— Koleżanka Wojtyrska tak się zaplątała w szowinizm, że wkrótce upadnie jeszcze niżej — podkreślił słowo „upadnie" i nogą wskazał rynsztok uliczny.

— Ona się tego nie boi, ją podniesie najpierw Żalecki, a potem inny — i w drwiącym uśmiechu pokazała swe żółte zęby.

Olga z czerwonej zrobiła się bladą, pod pierwszem wrażeniem chciała tych dwoje odepchnąć i uciec, ale obawa skandalu była większa, a zresztą, kto wie, do czego oni się posuną. Stała przez chwilę oniemiała z oburzenia, wtem Schweiger silnym ruchem ręki odsunął od Olgi Waldmana i Eisenfach i zawołał:

— Wy oboje jesteście niesprawiedliwi, wy macie w sobie tylko złość i zemstę, czego rzucacie się na nią, jak psy zajadłe?

— Jakto czego? — syknęła Eisenfach z błyszczącemi oczyma — ona nas zdradziła, ona się sprzeniewierzyła, czy to mało?

— Sza, cicho! — uspokajał Schweiger. — Człowiek powinien być zawsze w zgodzie ze swojem przekonaniem, bo inaczej w sercu i w ustach ma kłamstwo. Koleżanka Wojtyrska straciła przekonanie do S. D., a przyjęła P. P. S., to sprawa jej sumienia i przekonania.

— Dziękuję wam, kolego, za obronę przed napaścią uliczną. Bywajcie zdrowi, szanuję was.

— Powiedzcie mi: do widzenia... przyszłości nikt nie zna.

— Więc do widzenia — podała mu rękę i odwróciwszy się, poszła w kierunku swego mieszkania.

Czuła się zbyt dotkniętą, rozdrażnioną, aby mogła pójść na wykład, ale i o swym pokoju myślała z niechęcią, czekało ją bowiem napisanie listu do ojca z wyjaśnieniem, dlaczego chce się przenieść do Warszawy i z prośbą o pozwolenie. Przejdę się, uspokoję nieco, ułożę sobie list i dopiero pójdę do domu. Weszła do miejskiego ogrodu i w alei, na skręcie, dojrzała siedzących bardzo blisko siebie Fanny i Edmunda, a tak byli zajęci sobą, że nie uważali nawet na przechodniów.

Olga odwróciła się z niesmakiem i obawiając się dalszych spotkań, szła ku domowi. Obraz przytulonych do siebie Fanny i Edmunda, nie chciał jej opuścić, wciskał się w jej myśli wbrew woli, wbrew odsuwaniu go z wyobraźni. Znudzona tą opornością, pozwoliła fantazyi snuć się dalej w tym kierunku.

Wyobrażała sobie, jak pospolitą, banalną była ich rozmowa, a cała przyjemność polega na tem, że są blisko, obok siebie. A jednak im musi być dobrze ze sobą, skoro nie uważają, że dzień zimny, że przesiadywanie na ławce w tej porze jest dziwne, i że przechodnie patrzą na nich, obserwują, podchwytują ich ruchy, ich spojrzenia.

Gdyby to było dla nich tylko miłostką, tylko chwilową gorączką ciała, byłoby profanacyą uczucia. Ostatecznie takie uzewnętrznianie swych zapałów miłosnych jest dowodem, że tego rodzaju uczucia, jak szumowiny, płyną po wierzchu. Tak, to jest bezwstydne i brzydkie, zakończyła swe rozumowanie i obraz Fanny z Edmundem zatarł się zupełnie.

Odetchnęła swobodniej i zaczęła planować list. Lepiej jednak wpierw napisać do ciotki, która ją aż nazbyt czule witała w Petersburgu i zwykle usilnie zapraszała, a równocześnie napisać do ojca, tłómacząc powód wyjazdu bezcelowością nauki i pobytu tutaj.

Przyszedłszy do swego pokoju, już się nie wahała, lecz tego samego dnia wysłała obydwa listy.

Na drugi dzień, późnym wieczorem, wpadła do niej Helena.

— Wróciłaś? Ach, jak to szczęśliwie! — witała ją serdecznie.

— Jak widzisz, jestem i nic mi się nie stało, a swoją drogą najadłam się strachu — rozbierała się szybko z paltocika — a jeszcze lepiej ubawiłam się, zatańczyłam... dużo mam ci do opowiadania, wieczoru nie starczy.



— Wróciłaś? Ach, jak to szczęśliwie! — witała ją serdecznie.

— Mówże porządnie, systematycznie — uśmiechnęła się — siadaj! Oddałaś w porządku odezwy?

— Nie powiodło mi się z Zawierciem, ale w Łodzi... przyjmowano nas, jak zbawców, jak apostołów!...

— Jakto, was?

— Prawda, ty nic nie wiesz. W Koluszkach czekał na mnie Walczak i oboje pojechaliśmy do Łodzi. Ten pan Ryszard jest wcale przystojny i przyjemy człowiek, blondyn, a taki zapalony do sprawy, że tracił głowę, aby godnie nas przyjąć, uczcić... a jakie były toasty... No, zaczynam od początku, a ty słuchaj i nie przerywaj.

— Dobrze, słucham... a więc?

Helena opowiadała szczegółowo, przemilczawszy o swych uczuciach na wieść o uwięzieniu Walczaka. Nie trzymała się wprawdzie porządku chronologicznego, co było po części winą dopytywania się Olgi o drobne szczegóły, ale ostatecznie opowiedziała i kończyła:

— Jestem stanowczo zdecydowana wyjechać do Królestwa.

— Jakto i ty? — zdziwiła się Olga.

— Skądże to pytanie? — stłumiła zdziwienie — sama postanowiłam i sama jadę, a że może Walczak tam będzie... to jego sprawa, nie moja.

— Nie wiedziałam nic o Walczaku — uśmiechnęła się Olga — miałam na myśli Żaleckiego, który wyjeżdża.

— Więc i on jedzie?! no, a ty? Kiedy już razem, to razem.

— Jestem zależna od ojca, ale prawdopodobnie prędzej czy później będę w Warszawie... Ale, że tobie wolno tak zmieniać miejsce pobytu?

— Mnie?... Mój ojciec jest skromnie uposażonym urzędnikiem na prowincyi, a pomaga mi babka, która na wszystko się zgadza, czego ja chcę. Powiem, że pobyt mój w Królestwie potrzebny, ona się zgodzi, no i rodziców ugłaskam.

— A gdyby ci nie pozwolono?

— Myślałam już o tem, i wiesz, mam niejasne przeczucia, że się sprzeciwią, w takim razie pojadę na chybił — trafił. To najgorzej, że słuchałam chemii tylko jeden rok, gdyby dłużej, mogłabym się uczepić jakiej fabryki, a tak liczę na lekcye, od czegóż zresztą odwaga i młodość — zaśmiała się wesoło.

— W razie potrzeby, Heleno, zawsze licz na mnie... zresztą może będę mogła ułatwić ci niejedno w Warszawie.

— Mam nadzieję, że twej pomocy nie będę potrzebowała, ale nie wyrzekam się — uścisnęły sobie ręce — czy byłaś na wykładach?

— Byłam na dwóch... a wiesz, Waldman i Eisenfach zrobili mi scenę o moje przystąpienie do P. P. S.

— Oni? A cóż im do tego?

— Oburzali się, że porzuciłam S. D.

— Prawda, oni są tak głupio zacietrzewieni w swojej socyaldemokracyi, jak ją ohydnie po polsku nazywają, że świata i ludzi nie widzą po za nią. Wpatrzeni są tylko w siebie, w swe posłannictwo, w swe poświęcenie urojone, i sądzą, że wszyscy powinni padać plackiem przed nimi. Na twojem miejscu odwróciłabym się i w milczeniu odeszła.

— Tak też zrobiłam, a Schweiger pomógł mi w tem; to uczciwy człowiek.

— I ja to uznaję, ale też on, bodaj jedyny wśród nich, rozumie, co jest socyalna demokracya; inni uważają ją tylko za dogodną sposobność wywyższenia się nad poziom i plwania na P. P. S.

Olga z pewnem zdziwieniem przysłuchiwała się jej sądom, nie przypuszczała, że tak dobrze obserwuje i powiedziała z uśmiechem:

— Podróż jednak wpłynęła na ciebie, oceniłaś ich trafnie.

— Dawniej już, czyjając pisma S. D., czułam niesmak do wrzaskliwej ich polemiki, a gdyśmy z Walczakiem zaczęli przypominać sobie ich niepomierne samochwalstwa i maniactwo szarpania P. P. S., uczułam poprostu wstręt, a ty?

— Nie mam wstrętu, ale mam litość nad ich zaślepieniem i przypuszczam, że z czasem spostrzegą swą wyłączność przesadną.

— Jesteś optymistką... ale mniejsza z tem, już późno... idę!

Zapukano i wszedł Edmund.

— Dowiedziałem się, że jesteście, koleżanko, u Olgi, chciałem wam powiedzieć, że od dwóch dni macie list na uniwersytecie.

— List?... Dziękuję koledze, pójdę jutro.

— Może pozwolicie, że was odprowadzę? — spytał po chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poświęcenie sztandaru „Sokoła“ w Borysławiu.

Towarzystwa gimnastyczne pod nazwą „Sokół“, mające za cel szczytną dewizę: hartować ciało, a przez to samo wyrabiać hart ducha, rozwijają się u nas z dniem każdym. Niema dziś prawie miasteczka, w któremby nie było Sokoła. Widocznie idea sokola jest ideą całego naszego społeczeństwa, które chętnie skupia się pod sztandarem sokolim, przyzwyczajając się temsamem do łączności, solidarności i karności, trzech głównych cech Sokoła, których nam Polakom, tak, niestety, brak. Sokół jest dzisiaj siłą, którą się dzisiaj chlubić możemy.

W najbardziej przemysłowym zakątku naszego kraju, w Borysławiu, powstało też niedawno gniazdo sokole, które aczkolwiek niedawno założone, zdołało, dzięki energii swego prezesa, p. Długosza i sekretarza, p. Ostrowskiego, stanąć na silnych podstawach, pozyskać wielką ilość członków i wznieść sobie swój własny dom, własną sokolnię. W ostatnich czasach postarał się „Sokół“ także o własny sztandar, którego poświęcenie odbyło się dnia 10 b. m.

Poświęcenie sztandaru „Sokoła“ borysławskiego było dla Borysławia i dla wszystkich okolicznych gniazd sokolich wielkiem świętem. To też na tę uroczystość zjechało do Borysławia mnóstwo gości i deputacyj.

O godzinie 10 rano odbyła się na boisku sokolem uroczysta polowa msza św., podczas której przygrywała muzyka kolejowa ze Stryja. Dzień był prześliczny, nieprzeliczone tłumy zgromadziły się na boisku i na około niego. Po mszy św. odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru. Po tym akcie wypowiedział prezes „Sokoła“ borysławskiego, pan Długosz, porywającą mowę, tchnącą ogromną miłością ojczyzny i umiłowaniem idei sokolej, poczem oddał nowo poświęcony sztandar chorążemu. Kiedy uroczystość się skończyła, ruszyli sokoli w imponującym pochodzie ku mieszkaniu prezesa, gdzie sztandar złożono.

W południe odbyła się na cześć gości, przybyłych na tę uroczystość, uczta, w której wzięło udział około 150 osób, a wieczorem, o godzinie 6, festyn oraz ćwiczenia sokołów na boisku. Uroczystość zakończył wieczorek taneczny.

W uzupełnieniu artykułu, podajemy w dzisiejszym numerze illustracye, przedstawiające: przemowę p. Długosza i wręczenie poświęconego sztandaru chorążemu, pochód sokołów po uroczystości oraz widok sokolni.

Prawnicy austryackich kolei państwowych w Zakopanem.

Zakopane, ta perła gór naszych, jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi polskiej, ściąga rokrocznie mnóstwo ludzi i to nietylko Polaków, ale i cudzoziemców, którzy coraz ludniej zwiedzają tę naszą polską Szwajcaryę, podziwiając urok gór, napawając się majestatyczną powagą jezior, wśród skał rozsianych, bo Tatry mają w sobie jakiś szczególny czar, coś, co nietylko pociąga zmysły, ale duszę pęta i przykuwa do siebie. Mają jakiś urok tajemniczy, nęcący i przykuwający do siebie; kto raz był w Tatrach, ten wrażenia, jakiego tam doznał, nie zapomni nigdy i zawsze odczuwa niezmożone niczem pragnienie zobaczenia, nieraz jeszcze nasycenia oczu widokiem tych obszarpanych skał, zrębów i szczytów, tchnących zawsze jakąś magnetyczną siłą.

Prawnicy austryackich kolei państwowych, którzy przed tygodniem urządzili zjazd w Krakowie, skorzystali również ze zdarzającej się sposobności, aby, będąc w grodzie Jagiellonów, ujrzeć także najpiękniejszy zakątek polskiej ziemi i zaraz w pierwszym dniu zjazdu udali się do Zakopanego. Tam, po zwiedzeniu samego Zakopanego, pojechali do Morskiego Oka powozami, ażeby zaś mogli zwiedzić dokładniej góry i mieć lepsze pojęcie o ich piękności, z nad Morskiego Oka powrócili drogą na Zawrat. Idąc taką drogą, mogli się nasycić urokiem Tatr, które zobaczyli w całej pełni ich dzikości i krasy. Obcy zwłaszcza uczestnicy zjazdu wiedeńczycy, którzy tylko słyszeli o Zakopanem, nie mieli słów na wyrażenie piękności gór i szczytów i serdecznie dziękowali inicyatorom wycieczki do Zakopanego, za sposobność poznania Tatr.



Fot. W. Russ. Drohobycz.

Poświęcenie sztandaru Sokoła w Borysławiu: Uroczysty pochód Sokołów z nowopoświęconym sztandarem ku mieszkaniu prezesa p. Długosza.



Fot. W. Russ. Drohobycz.
Poświęcenie sztandaru Sokoła w Borysławiu: Przemowa prezesa Sokoła borysławskiego, p. Długosza, po poświęceniu sztandaru.



Prawnicy austryackich kolei państwowych w Zakopanem: Grupa uczestników zjazdu prawników kolejowych, zebrana przy Czarnym Stawie.

Myśl pokazania gościom naszych gór, w najpiękniejszej ich części, wyszła od urzędników dyrekcyi kolei w Krakowie. Dali oni przykład wszystkim organizatorom przyszłych zjazdów, żeby i oni, korzystając ze sposobności, urządzali zawsze wycieczki do Zakopanego, a w ten sposób łączyli *utile cum dulci*.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają uczęstników zjazdu prawników kolejowych, zebranych nad Czarnym stawem, oraz w łodzi na Morskiem Oku.

Pożar rafineryi nafty w Drohobyczu.

Ogień — to największy i najniebezpieczniejszy wróg człowieka. Element to niszczący z niepohamowaną siłą wszystko, co napotka. Prawie zawsze niespodziewany i nieoczekiwany, jest tem groźniejszy, że lada nieostrożność może go spowodować, a skutki są zawsze straszliwe. W miejscu, gdzie przedtem wznosił się np. dom mieszkalny, rozbrzmiewający gwarem wesołości i życia, po pożarze widać jeno kupy gruzów i dymiące zgliszcza. Wszystko ogień pochłonął.

O ile pożar domu jest straszny, o tyle strasznieszym jest pożar zabudowań, w których złożone są materyały palne, np. prochowni i rafineryi. Nafta, jako ogromnie łatwo zapalna, może się zająć nawet i od małej iskry, przez nieostrożność gdzieś w pobliżu rzuconej i w jednej chwili wybucha płomieniem, którego ugasić prawie niepodobna.

Groźny, ale wspaniały i majestatyczny zarazem jest widok palącego się rezerwoaru z naftą, albo rafineryi. Olbrzymim słupem bucha w górę płomień, zaciemniając firmament powłoką ciężkich, czarnych chmur. Głuchy huk, jakby z podziemia się wydobywający, spowodowany prężnością wytwarzających się gazów, miesza się z chrapliwym bulkotem gotującej się ropy i sykiem buchających w górę pło-



Poświęcenie sztandaru Sokoła w Borysławiu: Gmach „Sokoła“. Fot. W. Russ. Drohobycz.



Pożar rafineryi nafty w Drohobyczu: Wybuch rezerwoaru z naftą.

mieni. Dnia 12 bm. wybuchł około godziny 5 rano groźny pożar w jednej z większych rafineryi nafty w Drohobyczu, znajdującej się przy ul. Stryjskiej, a należącej do p. Parnassa. Przyczyna pożaru, jak zwykle, nieznana. Prawdopodobnie przez nieostrożność rzucił ktoś w pobliżu ogień, którego pastwą padła cała rafinerya, wyrządzając właścicielowi znaczną szkodę. Oceniają ją na 300 000 koron, na które, jak krążą wieści, niema pokrycia. P. Parnass bowiem miał podobno w ostatnim miesiącu odmówić zapłaty raty asekuracyjnej, zbyt wysokiej, wskutek czego stracił prawo do odszkodowania od towarzystwa asekuracyjnego.

Pożar rafineryi p. Parnassa groził poważnem niebezpieczeństwem dworcowi drohobyckiemu, który znajduje się w niedalekiej od rafineryi odległości. Dzięki jednak energicznej akcyi ratunkowej, udało się go zlokalizować.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają wybuch rezerwoaru i płonącą rafineryę.

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych we Lwowie.

W ubiegłą niedzielę odbyło się we Lwowie otwarcie wystawy prac uczniów rękodzielniczych. Mieści się ona w pałacu sztuki na placu powystawowym, a podzieloną została na cztery grupy, rozmieszczone w osobnych salach, mianowicie: pierwsza grupa obejmuje wyroby krawieckie, szewskie, rękawicznicze itd.; druga wyroby ze skóry, trzecia wyroby z drzewa, czwarta wyroby spożywcze. Najlepiej i najobficiej przedstawia się dział robót stolarskich. Całe urządzenia sypialni, salonu, jadalni, wykonane według najnowszych wzorów, imponują czystością i artyzmem wykonania, tak, że się czasami wierzyć nie chce, iż to są dzieła malców, dopiero uczących się rzemiosła. Bardzo dobrze przedstawia się także dział kuśnierski i szewski, słabiej krawiecki, natomiast imponująco wygląda może nie ilościowo, ale pod względem jakości, dział bronzowniczy, obejmujący kilka wspaniałych okazów.

Ogółem przyznać trzeba, iż wystawa ta wypadła lepiej, aniżeli się spodziewano i można być pewnym, że nie pozostanie bez praktycznych korzyści.

Drugą część wystawy stanowi osobny dział zabytków cechowych, przechowywanych po różnych cechach nietylko we Lwowie, ale i w całej Galicyi. Są tam więc stare, oryginalne dokumenty, z własnoręcznymi podpisami królów polskich, nadające poszczególnym cechom pewne prawa i przywileje, odznaki cechowe, pieczęcie, kasy brackie o najróżnorodniejszych i wielce oryginalnych kształtach, około 40 sztandarów, przeważnie świeżego pochodzenia i kilka w strzępy już prawie rozleciałych chorągwi z końca XVIII wieku, oraz mnóstwo innych. Wydobycie na światło dzienne tych zabytków, odnoszących się do przeszłości polskiego rękodzielnictwa, jest wielką zasługą komitetu, urządzającego wystawę i byłoby pożądanem, aby te wszystkie zabytki, poniewierające się po różnych miastach, zebrać i utworzyć z nich osobny dział w muzeum



Fot. M. Münz. Lwów.

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych we Lwowie: Sala, obejmująca wystawę przyrządów naukowych.



Pożar rafineryi nafty w Drohobyczu: Widok płonącej rafineryi.

To też — jak zauważyliśmy w Mogile — z prawdziwą lubością napawali oczy Królewiacy, licznie dziś u nas bawiący, widokiem cudnych obrazków, na które składały się barwne i wzorzyste stroje chłopów i chłopek krakowskich, na tle pstrych straganów u stóp starych, gdzieniegdzie tak malowniczo odrapanych murów kościoła klasztornego, gdzie w lewej kaplicy bocznej, pod strażą Ojców Cystersów, w białych habitach, od dawien dawna cudami słynie figura Pana Jezusa. Jeden z takich obrazków (szkoda, że nie kolorowy) znajdzie czytelnik w tym numerze. Drugi przedstawia starożytny kościółek farny z drzewa cedrowego, wewnątrz obecnie odnawiany, a znajdujący się po drugiej stronie głównej ulicy, kramami zajętej gęsto obok różnych karuzeli i panoram odpustowych. Na trzeciej wreszcie rycinie naszej widać w dziedzińcu klasztornym mały kopczyk oparkaniony, z krzyżem żelaznym w kajdanach z cierniami, z wymowną tabliczką: „Pamięci poległych r. 1863 w Warszawie"... W milczeniu przystawali pod tym pomnikiem goście zakordonowi i emigranci warszawscy, mieszkający dziś w Krakowie, z których wielu odwiedziło w tym roku odpust w Mogile „naszej Wandy, co nie chciała Niemca!"

Jedno tylko nader przykre wrażenie musiał wynieść z odpustu każdy, kto zajrzał do wnętrza bud jarmacznych, szumnie dioramami i t. p. przezwanych: oto pokazywano tam naszym chłopom same rzeczy niemieckie i to właśnie takie, które budzą entuzyazm patryotyczny w niemcu, a każą pięść zaciskać inteligentnemu Polakowi. Nie lepiej bywa na tych odpustach z obrazkami na kramach.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze illustracye, przedstawiające foyer wystawy, salę rękodzielników i salę zabytków cechowych.

Doroczny odpust w Mogile.

Wielką popularnością wśród Krakowian cieszy się doroczny odpust u OO. Cystersów w Mogile we wrześniu. To też zazwyczaj przez cały tydzień, o ile sprzyja pogoda przysłowiowo pięknej jesieni polskiej z babskiem latkiem — ciągną od Krakowa w stronę kopca Wandy, po gładkiej szosie mogilskiej, wśród tumanów kurzu, szeregi rozmaitego zaprzęgu furmanek, gęsto naładowanych gośćmi odpustowymi

W tym roku, po przybyciu na miejsce, rzucała się w oczy stałych bywalców ogromna różnica między obecnym odpustem a dawnymi z przed laty.

Niema tu dziś tych wielkich tłumów, cisnących się do kaplicy cudownego Pana Jezusa: gdzieniegdzie nawet przestrono — w porównaniu z tem, jak bywało kiedyindziej. Mniejsza o przyczyny. Dość, że naokół słyszymy narzekania kramarzy i wszelakiego rodzaju przedsiębiorców, zazwyczaj wiele sobie obiecujących korzyści z owego sławetnego, a tylko przez tydzień raz do roku trwającego odpustu; może ich tu zbyt wielu rozbiło namioty, a może już słabnie siła tradycyi, niegdyś do Mogiły na dni wrześniowe cały Kraków ściągająca, nie mówiąc o pielgrzymkach z szerokiej okolicy: bądź co bądź, uskarżają się wszyscy, że nikt nie zarobił tym razem nawet tyle, ile przypuszczał, pessymistycznie rzeczy biorąc, niejeden stracił nawet dosyć.

Odpust miał się już ku końcowi, a rozmaite piernikowe i niepiernikowe pamiątki z odpustu zalegały jeszcze barwne kramy różańcowe. Również kwaśną minę miały dziady liczne, z których niemal każdy mógłby stanowić pyszny model dla malarzy, bądź fantastycznością swojej postaci, bądź też niezwykle charakterystycznym typem twarzy. Wogóle, jeżeli chodzi o malowniczość, to tradycyjne odpusty w ziemi krakowskiej nie wiele z niej jeszcze zatraciły po dziś dzień, mimo słabnącej z każdym rokiem frekwencyi pielgrzymów pobożnych i ciekawych gości z miasta: zawsze, jak dawniej, proszą się jeszcze... pod pędzel, zwłaszcza dopóki nie zaginą bajecznie kolorowe stroje włościańskie z pod Krakowa.

Po tamtej stronie kordonu, zwłaszcza w bardziej przemysłowych okolicach kraju, życie fabryczne ruguje coraz silniej dawny ubiór wieśniaków polskich, zamieniających go na szarą, brzydką tandetę mieszczańską — i prześliczne kierezye muszą ustępować miejsca bluzom robotniczym.



Wystawa prac uczniów rękodzielniczych we Lwowie: Foyer wystawy. Fot. M Münz. Lwów.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

I.

Szlachetna zwierzyna.

— Strzelajże pan raz, panie hrabio! Nie widzi pan, jak tam się trawa porusza? Strzelaj pan w środek — tam zwierz jest!

Stali obydwaj na skraju lasu, młody hrabia w eleganckim stroju myśliwskim i jego stary leśniczy. Księżyc bladem światłem oświecał cichą, oparami wieczoru przysłoniętą okolicę.

Hrabia wyciągnął strzelbę i zaczął celować. Oczy mu płonęły. Jednak ociągał się jeszcze.

— Sądzi pan, panie leśniczy, że tam rzeczywiście..

— Ależ z całą pewnością! — Pal pan — bo inaczej...

W tej sekundzie rozległ się huk strzału.

Jednak równocześnie uszu strzelców doszedł rozdzierający serce krzyk, krzyk śmiertelny, jaki może wydać tylko szalony ból z piersi ludzkiej.

Hrabiemu wypadła z rąk strzelba, a on sam zatoczył się jak pijany.

— Panie leśniczy — na Boga — pan mnie do mord...

Nie mógł dokończyć strasznego wyrazu; drżał na całem ciele i ledwie, że się mógł utrzymać na nogach, chociaż był oparty o olbrzymich rozmiarów buk.

Stary leśniczy, z początku również uderzony tym krzykiem, ocknął się i zrobił ręką ruch lekceważący.

— Co tam — rzekł. — Nieszczęście chodzi po ludziach. Chodź pan, panie hrabio, zobaczymy, co się stało i ocenimy szkodę.

Poszli obydwaj na miejsce nieszczęścia i zobaczyli postać kobiecą, rozciągniętą na trawie.

Leśniczy pochylił się nad nią.

Hrabia nie miał odwagi spojrzeć na nią. Stanął i chwycił się rękoma za głowę. Na czoło wystąpił mu perlisty pot.

— Mój pierwszy strzał powalił — szlachetną zwierzynę — wyszeptał drżącemi, jak we febrze, wargami. — Co za straszny los!

Leśniczy podniósł się.

— Żyje jeszcze? — zapytał nagle hrabia.

— Tak jest. Jeszcze oddycha.

— Jak pan sądzi, czy nieszczęśliwa jest niebezpiecznie zraniona?

— Obawiam się, że — nawet bardzo...

— Biedaczka — wyszeptał hrabia.

— Tak jest, zdaje się, że jest biedną; ubranie jej, to same łachmany. Żebraczka jakaś pewnie.

— Ale w każdym razie cenne życie ludzkie, droższe i więcej warte, jak wszystkie skarby świata.

Leśniczy mruczał coś pod nosem.

Podeszli wreszcie ku leżącej i podnieśli ją, aby ją zanieść do domu leśniczego. W milczeniu szli ze swoją smutną zdobyczą przez las, zmierzając do niedaleko leżącej leśniczówki.

Kobieta, którą nieśli, była, sądząc po jej wysmukłej i kształtnej budowie oraz po znacznym ciężarze, jeszcze osobą młodą. Twarzy jej nie można było zobaczyć, bo była osłonięta czarną chustką.

Doszli wreszcie na leśniczówkę.

— Jezus, Marya — Karolu, co ty niesiesz? co się stało? — zawołała przerażona żona leśniczego, która im otworzyła drzwi. — I pan hrabia także tutaj? O, mój Boże, mój Boże...

— Cicho, Anno — mruknął leśniczy rozkazująco. — Poświeć nam i zaprowadź nas do tego pokoju, który prowadzi na ogród. O to, co się stało, może cię głowa nie boleć.

W kilka minut później ułożono nieszczęśliwą na miękkiem posłaniu i obydwaj mężczyźni cofnęli się, pozostawiając tymczasową pieczę nad zranioną kobietom, jakie były na leśniczówce.

Leśniczy Tareau wyciągnął, jak mógł najprędzej, wóz z wozowni, zaprzągł i pojechał do wsi, aby sprowadzić lekarza, który, jako pensyonowany lekarz wojskowy, słynął w całej okolicy i cieszył się zasłużonem zresztą uznaniem.

Hrabia pozostał sam jeden w izbie, przytykającej do alkierza, w którem znajdowała się chora. Postanowił on nie opuszczać leśniczówki, dopóki się nie dowie czegoś pewnego o losie nieszczęśliwej swej myśliwskiej zdobyczy.

Zdenerwowany w najwyższym stopniu chodził cichym krokiem po izbie, a z piersi jego wyrywało się co chwila dręczące westchnienie. Myśl, że w tej godzinie, w tejsamej godzinie, kona może kobieta, którą on zabił, sprawiała mu nieopisaną mękę. Jego szlachetne serce rwało się z żalu i niepewności.

Wtem drzwi cicho skrzypnęły i do izby weszła pani Anna. Hrabia chwycił jej rękę.

— No cóż? Wyjdzie z tego?

— Bóg to wie – odpowiedziała zapytana, wzruszając ramionami. — Dla niej byłoby w każdym razie lepiej, gdyby się już więcej nie obudziła, lecz spokojnie, we śnie, przeniosła się na łono wieczności.

— Ależ, na Boga, dlaczego?

— Miły Boże! Jak się zdaje, jestto nędzarka, biedna żebraczka. Ale musiała ona mieć i swoje lepsze dni, bo jej łachmany — to wszystko sam jedwab i atłas, a koszule, aczkolwiek dawno nie prane i brudne, są z cieniutkiej, delikatnej materyi. A kiedyśmy ją wymyły i przyodziały w nową bieliznę, leży — piękna jak anioł, a delikatna — jak księżniczka.

— A więc jest młodą i piękną?

— Jak już powiedziałam, piękna jak anioł. I mogę twierdzić, że nie widziałam jeszcze w kobiecie tyle uroku i wdzięku, co u niej.

— I ja ją postrzeliłem! — jęknął hrabia. — Och ten strzał, ten nieszczęsny strzał!...

— Zaraz mi to przyszło na myśl, że musi być postrzelona. W prawej piersi, niedaleko ramienia, ma ranę...

— Nieszczęśliwa! Na skraju lasu, pod gołem niebem, chciała spocząć na noc, a ja...

— Zdaje się, że dalej iść nie mogła — przerwała mu leśniczyna. — Wielki Boże! W takim stanie i nie mieć ani dachu nad głową, ani żadnego człowieka przy sobie!...

Otarła łzę.

Hrabia cofnął się, usłyszawszy to i jak oszołomiony, upadł na stołek, a ukrywszy twarz w dłoniach, łkał:

— Boże! Boże! A więc dwa życia ludzkie! Tego nie zniosę.

Powstawszy nagle, spostrzegł, że był sam w pokoju.

Zdawało mu się, że jakaś nieznana, tajemnicza siła pcha go przemocą do nieszczęśliwej.

Otworzył cicho drzwi i wszedł do alkierza. Ponieważ nie było w nim nikogo, prócz starej nieznajomej, podszedł do łoża, na którem spoczywała, twarzą zwrócona do ściany.

Wziął lampkę ze stołu i oświecił nią twarz chorej. Ale kiedy oczom jego ukazały się anielsko miłe jej rysy, trupia bladość pokryła mu lice.

— Ona — to ona! Boże, mój Boże!

Szybko postawił lampę na stole i padł na kolana przy łóżku.

— Lauro, moja Lauro! — wołał, jak opętany, okrywając pocałunkami jej białą, delikatną rękę.

Chora otworzyła po chwili oczy i zwróciła je na klęczącego.

— Mój Jan — wyszeptały jej wargi z jakiemś nieokreślonem uczuciem miłości.

Uśmiech, jakby promień słońca, rozjaśnił jej lica. Hrabia, klęcząc ciągle przy niej, patrzył w nią bez słowa, pogrążony w cichem rozpamiętywaniu. Ona uśmiechała się, nadzwyczaj szczęśliwa w tem swojem nieszczęściu, w tym bolu — porywająco piękna.

— Przez sen słyszałam, że to ty, Janie, mnie postrzeliłeś. O, dlaczego nie trafiłeś lepiej, w samo serce, w to biedne, oszukane serce, w którem dzisiaj zimno i pusto i które dopiero wtedy będzie spokojne, kiedy bić przestanie!

Ciężka łza stoczyła się jej po policzkach.

Z piersi hrabiego wyrwało się suche, przytłumione łkanie.

— Nie tak, moja Lauro, nie tak powinnaś myśleć — przemówił z odcieniem żalu w głosie — Od czasu, kiedy mnie potajemnie opuściłaś, nie zaznałem ani chwilki szczęścia. Nie da się wypowiedzieć, ile moje biedne serce przez ten czas wycierpiało. Byłem najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Ta chwila, kiedy cię na nowo odzyskałem, ta chwila — to pierwszy promień światła, który od tego czasu wpadł w posępny mrok mojego smutku.

Trzymał ciągle jej małą rękę, okrywając ją pocałunkami, a gorące łzy, jakie na nią spadały, świadczyły, że mówił szczerze.

Ale anielskie lica Laury pokrywał coraz głębszy cień smutku.

— To już minęło, minęło — szeptała. — Chcesz się pewnie dowiedzieć, dlaczego cię wtedy opuściłam? Przyczyna tego jest tajemnicą, której ci nigdy nie zdradzę.

— Lauro!

— Nie zdradzę! Nie. A teraz odejdź, Janie. Opuść mnie. Jeżeli zaś pewnego dnia usłyszysz, że ja — już przecierpiałam wszystko i że mnie wyniesiono, aby zwłoki me złożyć pod zieloną murawą, wtedy mój Janie, wtedy życzę ci, bądź bardzo, bardzo szczęśliwy u boku twojej — Wilmy.

Hrabia zerwał się na równe nogi.

— Przestań, Lauro, przestań! Nie mów więcej! Czy sądzisz, że ja mógłbym kiedykolwiek zapomnieć o tem, czem byłaś dla mnie, czem jesteś dla mnie? Czyż swego czasu nie oddałaś mi swego znacznego majątku, nie poświęciłaś go, aby mi tylko uratować życie i cześć?

— I przeto ty — z wdzięczności, nie z miłości ożeniłeś się ze mną...

Hrabia, jakby nie zważając na to, pochylił się i zamknął jej usta, długim, ognistym pocałunkiem.

— Lauro, jeszcze dzisiaj, jeszcze tej nocy dowie się mój ojciec o wszystkiem, o wszystkiem! Kiedy cię bez jego wiedzy i woli prowadziłem do ołtarza, byłem już pełnoletni, byłem oficerem i nie potrzebowałem jego zezwolenia — nasze małżeństwo jest więc wobec prawa ważne i jak tylko wyzdrowiejesz troszeczkę, zaprowadzę cię do zamku jako moją najdroższą żonę...

W tej chwili dały się słyszeć w przyległym pokoju jakieś szybkie kroki. Drzwi się otworzyły i do alkierza wszedł lekarz.

II.

Włóczęga.

W szynku „pod kogutkiem“, we wsi Trouville, siedziało koło godziny dziesiątej wieczór kilku gości. Na stole stały szklanki z winem, które usłużny gospodarz dość często zmieniał. Goście, wszyscy w bardzo dobrych humorach, zabawiali się wesołą pogawędką.

Naraz drzwi powoli się otworzyły i do szynkowni wszedł jakiś spóźniony gość.

Była to stara, ubogo ubrana kobieta. Podpierając się kijem, słabym krokiem szła powoli do stołu.

Gospodarz zastąpił jej drogę. Jedno spojrzenie na nieznajomą już mu wystarczyło. Wiedział, że nie będzie miał z niej zarobku.

— Czego chcecie? — zapytał opryskliwie.

— Przenocować tutaj — odpowiedziała cicho żebraczka. — Nie wymagam dużo — mówiła dalej, pokasłując — garść słomy mi wystarczy, a może tutaj, na ławie, pod piecem.

Szynkarz poskrobał się za uchem. Nie miał najmniejszej ochoty spełnić nawet tak skromnej prośby.

— Skąd wy jesteście? Macie jakie papiery? Jeżeli się nie wylegitymujecie, to was absolutnie nie mogę przenocować.

Staruszka patrzała zakłopotana na niego.

— No, pokażcie raz wasze papiery, bo jeżeli ich nie macie, to was w tej chwili wyrzucę.

Kobieta sięgła ręką do zanadrza, wyciągnęła jakiś biały świstek i w milczeniu drżącą ręką podała go szynkarzowi.

Ten podszedł do szynkfasu, nad którym wisiała duża lampa. Tam rozłożył papier i z uwagą począł go przeglądać.

— A więc przed ośmiu dniami wypuszczono was z kryminału, gdzieście odbyli pietnastoletnią karę za morderstwo — wykrzyknął głośno.

Zgromadzeni wieśniacy powstali od stołu, otoczyli ją kołem i z ciekawością patrzyli na biedną kobietę, która stała pośród nich, nie mówiąc ani słowa, jakby w myślach zatopiona.

— A zameldowaliście się tutaj u wójta? — pytał dalej szynkarz.

— Ja przecież dopiero tu przyszłam...

— A więc jeszcze nie; w takim razie idźcie, skądeście przyszli.

Roześmiał się pogardliwie.

— Ludzie, takiego, jak wy, pokroju, którzy przesiedzieli piętnaście lat w kryminale, należą do szlachetnego cechu włóczęgów, z którymi uczciwy gospodarz niema nic wspólnego.

Biedna kobieta stała, jakby wrosła w ziemię. Podniosła błagalny wzrok, w którym znać było cierpienie i znużenie, dla tego szczególnego przyjaciela ludzi.

— Może się znajdzie gdzie w stajni jaki kącik, gdziebym mogła wypocząć i wyprostować znużone członki. Gdzieś przy bydle, w sianie. Ja nie chcę za darmo...

— Na nic; szkoda gadania; włóczęgi, żebraczki, która się nie zameldowała w urzędzie gmin-

nym, nie zatrzymam u siebie za żadną cenę. Bezwarunkowo nie! A teraz za drzwi!

Chwycił ją za ramiona, ale usunęła się. W oczach jej płonął posępny jakiś ogień.

— Dziękuję panu za tę pomoc. Znajdę sobie sama drogę.

Słabym krokiem zwróciła się ku drzwiom, gdzie jeszcze na chwilę stanęła i odwróciła się.

— Niech Bóg za pańskie dobre serce odpłaci panu i pańskim dzieciom! — rzekła z gorzką ironią nieszczęśliwa.

Po chwilce drzwi się za nią zamknęły.

Pośród gości dał się słyszeć pomruk niezadowolenia. Jeden z nich, silny, szpakowaty już mężczyzna, wypróżnił szybko swoją szklankę, rzucił pieniądze na stół i podniósł się.

— Cóż to, Tomaszu, już odchodzicie? — zapytał szynkarz.

— Tak jest — odparł ostro zapytany. — Uczciwy gospodarz, który nie ma ani odrobiny serca, ani odrobiny litości dla cudzego nieszczęścia, jest w moich oczach szubrawcem i niczem więcej! Żebyś o tem wiedział!

Po tych słowach opuścił szynkownię.

Na polu było ciemno; wytężył wzrok i ujrzał wkrótce na drodze wlokącą się żebraczkę.

— To ona — rzekł sam do siebie; przyspieszył kroku i za chwil parę znalazł się tuż obok nieznajomej, która zobaczywszy go, stanęła.

— Chodźcie ze mną, dobra kobieto — przemówił do niej przyjaźnie. — Pod moim dachem znajdziecie nocleg i dobrą opiekę.

Biedna kobieta, jakby oszołomiona tem zaproszeniem, stała, nie mogąc ani słowa przemówić. Dopiero, gdy Tomasz wziął ją za rękę, ocknęła się i poszła z nim razem.

Po kwadransie może usłyszeli szum koła młyńskiego. Tomasz uczuł, że ręka staruszki, którą trzymał w swojej dłoni, na odgłos tego szumu drgnęła.

Jednak kobieta milczała, więc i on nic nie mówił.

Nareszcie doszli do celu. Tomasz zaprowadził ją do izdebki i poprosił, aby usiadła.

— Jestem młynarzem u hrabiego — rzekł — i zaraz postaram się o to, żebyście się mieli gdzie przespać, a przedewszystkiem coś zjeść, bo musicie być głodni.

Zanim biedna kobieta mogła wyszeptać słowa podzięki, młynarza już nie było w izbie.

W kilka chwil potem zjawiła się zgrabna, czysto ubrana, starsza kobieta, która poprosiła żebraczki, aby się za nią udała i zaprowadziła ją do skromnie umeblowanego pokoiku. Stał tam stół, nakryty białym obrusem, na którym przygotowane było jedzenie, dalej łóżko, zasłane czyściutko.

— Tak, dobra kobieto, tutaj jest pożywienie, posilcie się więc, a tam jest łóżko, gdzie się prześpicie.

— Bóg niech wam za to zapłaci — rzekła żebraczka, płacząc z rozrzewnienia.

Za chwilę pozostała znowu sama.

— A więc nie opuściłeś mnie i nie zapomniałeś o mnie, miłosierny Boże, o mnie biednej, nieszczęśliwej kobiecie — zawołała, wyciągnąwszy ramiona ku niebu.

I z jej ócz, które od lat piętnastu nie płakały, potoczyły się wielkie, czyste łzy i spadały na jej blade, bruzdami smutku i przebytych nieszczęść poorane oblicze.

Właśnie zabierała się do jedzenia, kiedy do drzwi zapukano i do pokoju wszedł Tomasz. Pozdrowiwszy ją uprzejmie, usiadł naprzeciw niej.

— Wybaczy pani, że jeszcze raz ją nachodzę — rzekł. — Zdaje mi się jednak, że krótka rozmowa, o jaką panią poproszę, będzie dla pani kojącym balsamem w nieszczęściu.

— Ach, pan stałeś mi się już pocieszycielem i dobroczyńcą, a pańskie współczucie...

— Nie mówmy o tem — przerwał jej młynarz. — Zabierając panią do siebie, chciałem okazać moje serdeczne współczucie żonie nieszczęśliwego mego przyjaciela.

— Jakto? Pan mnie zna? Pan znałeś mojego biednego, niewinnie ściętego męża?

Młynarz skinął potwierdzająco głową.

— Byliśmy kolegami z ławy szkolnej, później, przy wojsku, najlepszymi przyjaciółmi, a kiedy w ostatni wieczór przed jego ścięciem byłem u niego w więzieniu, aby się z nim pożegnać, gorzko obydwaj płakaliśmy i — i —

Nie mógł mówić dalej, nie mógł z gardła wydobyć głosu. Kobieta ukrywszy twarz w dłoniach, łkała głośno.

— I jak wtedy byłem przekonany o jego niewinności — zaczął po chwili dalej — tak jestem przekonany i teraz i do grobu będą mi dźwięczeć w uszach jego ostatnie słowa: „Tomaszu“ — rzekł on do mnie, kiedy wzruszony odchodziłem od niego — „postaraj się o to, aby wykazać niewinność moją i mojej żony, postaraj się zmyć z naszego nazwiska plamę winy, żeby dzieciom naszym nie wyrzucano kiedy, iż są dziećmi morderców“. To były jego ostatnie słowa. Wyszły one ze serca krwawiącego z bólu, ze serca bólem niemocy starganego — wyszły, jakby ciężkie oskarżenie przeciw losowi. Ale opatrzności nie podobało się jeszcze wykazać jego niewinności.

Oczy nieszczęśliwej kobiety płonęły, pierś falowała ze wzruszenia. Uczucia, jakie w niej przytłumiło piętnastoletnie więzienie, wybuchły teraz ze zdwojoną siłą.

— Moje dzieci — Henryk — Gizela — o Boże, gdzie one są dzisiaj? Jak im się powodzi, biedactwom?

Młynarz wzruszył ramionami.

— Pani Berner — rzekł — ludzie, którzy postarali się o to, ażeby ojca zaprowadzić na szafot, a matkę wepchnąć do kryminału, musieli się i o to postarać, żeby dzieci ich ofiar zniknęły.



— Lauro, moja Lauro! — wołał, jak opętany, okrywając pocałunkami jej białą, delikatną rękę.

— Ale dlaczego? Cóż im niewinne dzieci zrobiły?

Tomasz obejrzał się, jakby w obawie, czy go kto nie podsłuchuje. Potem rzekł szeptem prawie:

— Hrabia Mironeau, który wasze nieszczęście ma na sumieniu, niedowierza nikomu na świecie. Może się obawiał, że z dzieci niewinnie zasądzonych powstaną kiedyś mściciele, którzy go mogą pociągnąć do okropnej odpowiedzialności.

— Sądzisz pan rzeczywiście, że w tej całej sprawie główną sprężyną była ręka hrabiego?

— Jego i nikogo więcej.

— Ale zamordowany był przecie jego bratem — zauważyła.

— Tak jest — jednak okoliczności tak się złożyły, że hrabia poprostu musiał popełnić bratobójstwo. Był on namiętnym graczem i marnotrawcą i te namiętności przyprowadziły go do kompletnej ruiny, kiedy jego młodszy brat, bogacz, milioner, powrócił z Ameryki. Możesz sobie pani resztę sama dopowiedzieć.

— Jeśli mnie jednak pamięć nie myli, to brat był ożeniony, był nawet ojcem córeczki, czy nie tak?

— Tak jest, tak jest — odparł młynarz.

Obejrzał się znowu trwożliwie naokoło, poczem ciągnął dalej:

— Żona jego, która tu przybyła wtedy, kiedy zwłoki jej męża dawno już leżały w grobie, umarła w kilka miesięcy później. Czy ona tam umarła — no, ludzie o tem rozmaicie mówią — w każdym razie jestto niejasna historya — mówią nawet o — ale pozostawmy to — dosyć, że z całej rodziny młodszego hrabiego Mironeau pozostała jedynie córka, hrabianka Wilma, a ta ma wyjść wkrótce za młodego hrabiego Jana. Tak sprawy stoją, dobra pani.

— Mój Boże, co za nowe widnokręgi otwierają się przed memi oczyma! A zatem praktykant mego męża, ten niegodziwy człowiek, którego kłamliwa przysięga spowodowała na nas wyrok potępienia, był kreaturą hrabiego?

Tomasz skinął potwierdzająco głową.

— Ja przypuszczam, że Pommon, ten który stawał jako główny świadek przeciw wam obojgu, że to on właśnie zamordował hrabiego Hugona Mironeau.

— Na Boga! — zawołała kobieta przerażona. — A więc ten okrutnik potrafił skłamać i przysiądz na to, ażeby nas, którzyśmy mu nigdy nic złego nie zrobili, zgubić?

— On działał jako narzędzie człowieka, który mu za to dobrze zapłacił.

— Ale dlaczego wciągnięto nas tę okropną sprawę?

— Bardzo zrozumiałe. Gdyby nie znaleziono „winnych“, to, zważywszy, jak sprawy stały, podejrzenie byłoby natychmiast padło na tutejszego hrabiego. Skoro jednak „morderców“ odkryto i ukarano, właściwi zbrodniarze pozstali czyści a — nad grobem zamordowanego brata rosła spokojnie trawa.

Kobieta słuchała tego, jak skamieniała.

Nagle powstała, a na twarzy jej, noszącej jeszcze ślady dawnej piękności, odmalowała się jej poruszona z długiego uśpienia, przeżarta cierpieniami dusza.

— Ha! — zawołała, drżąc cała ze wzruszenia — więc poświęcono mnie i mojego biednego męża, aby pokryć zbrodnie innych — myśmy musieli odpokutować za cudze winy! Ale, na Boga, ja pomszczę mego nieszczęśliwego męża, ja zmyję plamę z jego honoru, jego imię wyrwę z poniżenia i przywrócę mu cześć.

Wyciągnęła z zanadrza zawiniątko i drżącemi rękoma wyjęła zeń białą chusteczkę, pokrytą kilku ciemnymi plamami.

— Patrz, mój przyjacielu, na tej chusteczce jest krew mojego niewinnie straconego męża! — wyszeptała przytłumionym głosem.

Młynarz wzdrygnął się.

— Jeden z dozorców więziennych okazał mi tę wyjątkową łaskę, że w tę chusteczkę zebrał krew mojego męża i pozwolił pomięszać się jej ze łzami zrozpaczonej małżonki, której nie zabroniono przypatrywać się z okna strasznej egzekucyi. Wszystko, co wtedy przeżyłam, przecierpiałam i przebolałam, to wszystko zatonęło jakby we mgle, tylko jeden obraz z tych dni nie zatarł się przed oczyma mojej duszy: miejsce stracenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wycieczka oddziału kolarzy Sokoła krakowskiego do Wieliczki: Oddział kolarzy, zebrany przed gmachem Sokoła, przygotowany do wyjazdu.

Poświęcenie sztandaru Towarz. weteranów wojskowych w Jaworznie.

Wszystkie stowarzyszenia i korporacye, skupiające w sobie pewną liczbę członków jednego zawodu, miały w dawnych czasach sztandary, które zawsze podczas uroczystości, czy to kościelnych, czy narodowych, ile razy brało w nich udział dane stowarzyszenie, niesiono na czele. Sztandar był niejako symbolem łączności i jedności członków i z tej przyczyny uważano go za pewnego rodzaju świętość. Dla żołnierzy n p. sztandar jest najważniejszą rzeczą i w czasie bitwy najgorętsza walka toczy się zazwyczaj około sztandaru. Utrata sztandaru, oddanie go w ręce nieprzyjaciela, jest uważane za największą dla żołnierza hańbę. Dzisiaj jeszcze stowarzyszenia, choćby nawet pod względem ilości członków bardzo małe, starają się zwykle o swój sztandar, uważając posiadanie go za punkt honoru, przekazany tradycyą. Nieraz więc słyszymy i dzisiaj, że to lub owo towarzystwo obchodziło uroczystość poświęcenia sztandaru.

Taka uroczystość odbyła się w ubiegłą niedzielę w Jaworznie. Istniejące tam Towarzystwo weteranów wojskowych obchodziło święto poświęcenia swego nowosprawionego sztandaru. Na uroczystość tę zaproszono wszystkie stowarzyszenia weteranów w okolicznych miastach; na dworzec do Szczakowej wysłano specyalny pociąg, który przywiózł gości z Krakowa i Krzeszowic, w liczbie przeszło dwustu. Po przyjęciu przybyłych na dworcu, udał się oddział weteranów z Jaworzna pod komendą swoich oficerów wraz z gośćmi do kościoła, gdzie się odbyło uroczyste nabożeństwo, a potem poświęcenie sztandaru. Po skończonej uroczystości wyruszyli weterani z rozwiniętym sztandarem do lokalu Towarzystwa. Po południu odbyła się w parku wielka zabawa, która zakończyła uroczysty ten obchód.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia weteranów z Jaworzna w otoczeniu gości, przybyłych na tę uroczystość.

Wycieczka oddz. kolarskiego krak. „Sokoła“ do Wieliczki.

Sport kolarski rozwinął się w naszym kraju w ostatnich latach niebywale. Dziś niema prawie miasteczka, w któremby nie istniał specyalny klub cyklistów. Po większej części są te kluby oddziałami Sokoła i trzeba przyznać, że z pomiędzy wszystkich one są najbardziej ruchliwe. Kluby cyklistów urządzają w każdą prawie niedzielę większe wycieczki gromadne, urządzają wyścigi, a w mniejszych naprzykład miastach, one trzymają ster życia towarzyskiego w swym ręku.

Nie mniejszą ruchliwością odznacza się i oddział kolarzy „Sokoła“ krakowskiego. Należą do niego w przeważnej części ludzie młodzi, akademicy i urzędnicy. Rokrocznie urządzają też raz albo dwa razy wyścigi, ponadto kilkanaście większych i mnóstwo mniejszych wycieczek. A wycieczki te są nietylko rozrywką, ale są także bardzo pożyteczne, zazwyczaj bowiem za punkt wycieczki obierają jakąś miejscowość, znaną czy to z historyi, czy z zabytków, czy też z piękności położenia, a przeto godną zwiedzenia i poznania.

W ubiegłą niedzielę urządzili kolarze krakowscy wycieczkę do Wieliczki. Dzień był piękny, pogoda dopisała, wycieczka więc udała się pod każdym względem. Wyjazd nastąpił o godzinie drugiej popołudniu, z przed gmachu „Sokoła“. Uczestnicy zwiedzili Wieliczkę, tę tak małą, a przecie dzięki swoim bogactwom w pokładach soli tak sławną w całym świecie miejscowość, poczem wieczorem powrócili do Krakowa.

Illustracya nasza, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia oddział kolarzy „Sokoła krakowskiego, zebrany przed gmachem „Sokoła“ przy ulicy Wolskiej, na chwilę przed odjazdem.

Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy kościół w Podgórzu.

Jedną z nader pięknych, a rzadkich uroczystości kościelnych, obchodzili w tych dniach mieszkańcy Podgórza. Pod budowego nowego kościoła w tem mieście kładziono kamień węgielny. Dla przyszłych pokoleń, w późne wieki staje się taki kamień węgielny w podziemiach starej świątyni, lub gmachu publicznego, księgą pamiątkową, w której prawnuki wyczytają, kto i kiedy fundował i budował ów kościół, kto poświęcał jego mury i kto wreszcie sprawował w mieście i kraju naówczas wybitne urzędy publiczne.

Nieraz, gdy pożar, wojna lub inna jaka katastrofa zniszczy wszelkie ślady archiwów współczesnych, o dziejach starej budowli świadczyć mogą jedynie dokumenty wmurowane w podwaliny przed wiekami.

To też nie dziw, że tego rodzaju ceremonia odbywa się z większą uroczystością i staje się chwilą, godną uwiecznienia. Załączone ryciny przedstawiają właśnie ów moment historyczny w dziejach budowy nowego kościoła w Podgórzu w niedzielę 17 b. m.

Uroczystość rozpoczęło powitanie przy moście podgórskim przybywającego na tę ceremonię kościelną ks. biskupa Nowaka z Krakowa. Pochód procesyonalny przy dźwiękach orkiestry uczniów gimnazyum św. Jacka, prowadził ks. kanonik Gruszecki, proboszcz miejscowy, na czele licznego duchowieństwa krakowskiego i podgórskiego. Miej-



Fot. T. Jabłoński. Kraków.
Poświęcenie sztandaru Tow. weteranów wojskowych w Jaworznie: Oddział weteranów wojskowych z Jaworzna w otoczeniu gości, przybyłych na uroczystość poświęcenia sztandaru.



Prawnicy austryackich kolei państwowych w Zakopanem: Uczestnicy zjazdu zebrani nad Morskiem Okiem. (Treść na str. 6).

kowski bowiem, zajęty dramatem, powierzył kierownictwo operą p. Wiktorowi Grąbczewskiemu, znakomitemu śpiewakowi i cenionemu reżyserowi.

Artysta ten ma już za sobą szereg lat rozgłośnej karyery, w której zbierał liczne tryumfy na obu półkulach. Wyszkolony w sztuce śpiewania u braci Reszków (przez rok 1890 w Paryżu) i przygotowany przez Tecquiego, debiutował w „Trawiacie“ w medyolańskim „Teatro Filodramatico“, poczem po szczęśliwych występach w Genui i Neapolu, odbył podróż artystyczną (w r. 1893 i 4) po Ameryce z braćmi Reszkami, a w następnym roku koncertował w Niemczech i Belgii i już sławą śpiewaczą okryty, przybył do Warszawy w 1896, gdzie stał się rychło jednym z ulubieńców publiczności. Tam też, w charakterze reżysera, prowadził szereg polskich oper Moniuszki, Żeleńskiego i Kurpińskiego. Jednocześnie zasłynął jako świetny nauczyciel śpiewu. Mając specyalne studya nad emisyą głosu, doszedł w tym kierunku do takiej perfekcyi, że mu Reszkowie wielu uczniów przysyłali z Paryża do Warszawy.

Wszystkie większe miasta polskie słyszały i podziwiały nieraz Grąbczewskiego, który w swym dużym repertuarzu do najlepszych partyj zalicza świetne role w Rigolecie, Verbum Nobile, Trubadurze i Cyruliku Sewilskim

Jako reżyser, jest on zdania, że znakomicie zestrojony zespół stanowi nietylko warunek udatnej całości, ale że jedynie na jego tle mogą wystąpić dopiero w pełni zalety solistów, zarówno skończonych, jak i początkujących. Z tą dewizą rozpoczął Grąbczewski prace przygotowawcze do nowego sezonu operowego we Lwowie, w czem szczęść mu Boże!

sce budowy nowej świątyni, przystrojone było chorągwiami wśród zieleni. Gdy procesya tutaj przybyła, odczytał budowniczy miejski p. Kryłowski dokument fundacyjny, który podpisali świadkowie niezwykłego aktu.

Między innymi położyli na nim swoje podpisy przedewszystkiem przedstawiciele duchowieństwa z ks. biskupem Nowakiem na czele, dalej burmistrz p. Maryewski z radnymi miejskimi, komisarz dr. Stanisław Czyszczan, jako przedstawiciel starostwa podgórskiego, starszy radca sądowy p. Górski, p. dyrektor Kranz, p. Karol Czecz, oraz członkowie komitetu budowy. Do dokumentu, włożonego w rurkę szklanną, dołączono ofiarowany przez ks. biskupa medalion srebrny, oraz tradycyjnym zwyczajem — monety współczesne, poczem zamurowano wszystko kamieniem węgielnym.

Przed Mszą Św., ks. biskup w pięknej przemowie na temat znaczenia budowy nowego kościoła, dziękował Radzie miasta Podgórza za przyczynienie się do powstania wspaniałego Domu Bożego. W czasie nabożeństwa śpiewał chór gimnazyalistów podgórskich. Po ceremonii powrócono na probostwo również w pochodzie procesyalnym, a Podgórzanie rozchodzili się do domów dnia tego szczęśliwi i dumni, że miastu ich przybywa nowa świątynia.

Nowy dyrektor opery lwowskiej.

Publiczność teatralna w Krakowie jest jednolita, polska. Dzięki temu, dyrekcya teatru miejskiego, dając przez cały tydzień przedstawienia dramatu i komedyi, może liczyć na dostateczną liczbę bywalców i nie potrzebuje sztukować repertuaru widowiskami wokalnymi. Inaczej we Lwowie, gdzie większość gości teatralnych pochodzi z tych sfer miejskich, w których brak wyższego stopnia kultury i poczucia polskości — w przeciwieństwie do Krakowa — wyrobił zamiłowanie szczególne do międzynarodowej operetki. Ta miała tedy zawsze – niestety – największe powodzenie w nadpełtwiańskim grodzie i niektórzy przedsiębiorcy teatralni w dawnym gmachu Skarbkowskim protegowali ją nadmiernie, kosztem nawet dramatu polskiego. Kadry operetki stanowiły też zwykle podporę opery, dla której również ma Lwów więcej miłośników wśród zamożniejszej, zwłaszcza żydowskiej, publiczności, często mogącej sobie na teatr pozwalać, — aniżeli dla swojskiej komedyi, na którą chodziliby chętnie właśnie ludzie, mający zbyt małe dochody (przeważnie pensye urzędnicze), by módz bywać w teatrze stale.

Z tych względów właśnie opera we Lwowie zajmuje stanowisko wyjątkowe, a niejednokrotnie miewała swoje czasy świetności. Teraz właśnie zanosi się znowu na to, iż Lwów będzie się niebawem szczycił swoją sceną operową. P. Pawli-



Fot. M. Münz. Lwów.

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych we Lwowie: Sala, obejmująca wystawę zabytków cechowych.

Zygzakiem

Konsylium i orzeczenie lekarskie o stanie zdrowia ciężko chorej Pani Austryi, podane przez jednego z uczestników narady.

Przybyliśmy — tak opisuje owe konsylium jeden z lekarzy — do starego zamku, strzeżonego przez liczne straże i zdobnego na zewnątrz śladami dawnych złoceń z różnych czasów i różnego pochodzenia. Wewnątrz zamku zarówno na korytarzach, jak i w komnatach, były przeważnie pustki, szczególnie zaś w ubikacyach, nazwanych skarbcem.

Zawód i powołanie chorej widoczne było w licznych, na każdej prawie ścianie umieszczonych napisów: „*tu felix Austria nube*“. Chora trudniła się bowiem zawodowo stręczeniem małżeństw, z czego miała wprost nieoczekiwane zyski. Lekarzy przybyło kilkudziesięciu, z kilku miejscowości, w których chora była znaną bądź ze słuchu, bądź z działalności. Nie stawił się jedynie profesor Domański z Krakowa, usprawiedliwiając swą nieobecność ważnem posiedzeniem Rady miejskiej w Krakowie, na którem miały być omawiane, wprawdzie nie bezinteresowne aspiracye artystyczne p. Solskiego, ale kwestye równie ważne, a mianowicie, czy prezydent miasta Krakowa powinien być prawnikiem czy weterynarzem, oraz komu należy pierwej podwyższyć pensye: nauczycielom, czy służbie przy instrumencie Talarda.

Dodać jeszcze muszę, że pociąg, wiozący konsylium, prowadził osobiście radca dworu Horoszkiewicz, bremzował prezydent dr. Leo, honorową służbę w wagonach pełniło krakowskie biuro prawnicze kolei państwowych pod przewodnictwem dra Wróbla, kuchnię zaś prowadził profesor dr. Czerkawski, który w swoim czasie urządził był w Krakowie tak znakomite słowiańskie obiady. Parę w kotle produkował p. Staszczyk, dyrektor akcyzy miejskiej w Krakowie.

W jednej z komnat, na poły przyćmionej, znaleźliśmy Panią Austryą, w otoczeniu rodziny. Uderzała wielka liczba dzieci, które mówiły różnymi językami, były jednak przeważnie nikłe i źle odżywiane. Badanie podmiotowe chorej wykazało przedewszystkiem ogólne wycieńczenie z powodu licznych, bądź rozmyślnych, bądź sztucznych poronień, z których najbardziej niebezpiecznem było poronienie w skutek uderzenia się w brzuch pod Königraetcem. Chora skarży się na częste zawroty głowy, na bezsenność i osłabienie mimo nadmiernego apetytu, który ją zniewala do zabierania własnym dzieciom niemal wszystkiego, co mają do pożywienia. — Ulubioną potrawą chorej jest tak zwany budżet wojskowy, atoli ta właśnie potrawa powoduje nieustannie zaburzenia w organizmie chorej. Wywiady wykazały, że pacyentka pochodzi z rodziny, dziedzicznie fałszywym apetytem obciążonej, a mąż pacyentki, pan Węgier, jest notorycznie umysłowo chory na manię wielkości. Chora miewa również stany zupełnej niepoczytalności, a wtedy fantazuje bądź o budowie kanałów, bądź o reformie kodeksu karnego, bądź wreszcie o zgodzie, miłości i dobrobycie swoich dzieci. Wtedy także objawia ogromnie miłosne usposobienie względem swego małżonka, pana Węgra, z którym w rzeczywistości żyje — jak pies z kotem, zarzucając mu zawsze, że poza domem utrzymuje niedozwolone stosunki. Największe zaufanie i sympatyę ma chora do starej, wiernej pokojówki, zwanej przez dzieci „Kołem Polskiem“, która to pokojówka odznacza się niesłychaną cierpliwością względem kapryśnej swej pani. Badanie przedmiotowe wykazało przedewszystkiem liczne znaki obrażeń na ciele i stare blizny, które, wedle podania pacyentki pochodzą przeważnie z jej małżeńskiego pożycia, niektóre zaś otrzymała pacyentka w bitkach bądź we Włoszech, bądź w Danii, w które mieszała się albo z dobrego serca, albo wskutek fałszywego apetytu.

Na biodrach, względnie pośladkach chorej, w tem miejscu, gdzie pacyentka ma Galicyę z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, znaleziono bardzo charakterystyczne owrzodzenie autonomiczne na tle alkoholiczno-podatkowem. W kiszce grubej, siedzibie urzędników, liczne hemoroidy, wymagające jak najszybszej operacyi. Włosy sztuczne, zęby wprawione, palce u rąk nadmiernie długie. Chora tłomaczy ten objaw tem, że w rodzinie jej było wielu Czechów. Twarz pacyentki, wychudła, ma charakterystyczny wyraz wrodzonej złośliwości, pokrywanej jednak słodkawym uśmiechem. Chora zezuje lewem okiem w stronę Berlina, prawem w stronę Petersburga. Chora skarży się na różne dolegliwości, głównie zaś na wewnętrzne zaburzenia, a więc na ataki serca, uderzenia krwi do głowy, parcie, nadewszystko zaś na obstrukcyą, którą usuwa jedynie za pomocą wielkich dawek heroicznego środka, zwanego paragrafem czternastym. Po zażyciu jednak obstrukcya występuje na nowo i to z coraz większą siłą. Chora wierzy w swoje wyzdrowienie, które jednak czyni zależnem od przyczyn natury podmiotowej, jak wierności swojego małżonka, pana Węgra, pogodzenia się dzieci z nią i między sobą. „Gdyby nie dzieci, byłabym zdrowa, kwitnąca i mogłabym się dalej zajmować tak, jak niegdyś, intratnem dla mnie kojarzeniem małżeństw. Dzieci mnie dobijają, są kapryśne, co chwila zachciewa się im nowej zabawki. Myślałam, że ich pogodzę, kupując im wszystkim dziecinne koniki, zwane rozporządzeniami językowemi. Gdzież tam: o te właśnie koniki wybuchła największa niezgoda. Aby je uspokoić, obiecałam im kanały. Przez parę dni był spokój, teraz znowu krzyczą mi w uszy, żem ich oszukała. Ojciec rzadko pokazuje się w domu, a gdy przyjdzie, narobi mi tylko jeszcze większej awantury, gdyż chce wszystkie dzieci brać za łeb i komenderuje nimi po węgiersku“.



Marya Palińska.

Prezes komisyi lekarskiej polecił w tem miejscu członkom konsylium, którzy byli specyalistami do chorób umysłowych, aby skrzętnie notowali słowa chorej, dla zebrania odpowiedniego materyału.

Co do inteligencyi i etyki pacyentki, stwierdzono, że chora w róże zabobony w jakieś, bliżej nieokreślone trójprzymierze, jest przeciwną zbyt rozległemu nauczaniu swoich dzieci, które przez to stają się niesforne, ubolewa, że dzieci niechętnie bawią się w wojsko i nie lubią swego domowego nauczyciela religii, Reineke-Fuchsa Jezuity. Wysoko ceni cnoty domowe, miłość i wierność małżeńską, a na dewizę życia obrała sobie: każdy środek dobry jest, jeśli prowadzi do celu. Z wielkien uznaniem wyraża się o starej pokojówce zwanej „Kołem polskiem“, gdyż ona jedna rozumie pacyentkę. I dzieci, mówiące po polsku, są stosunkowo najgrzeczniejsze, choć krzykliwe i kłótliwe. Łatwo je jednak uspokoić, bądź to kolorowemi lub złocistemi orderkami, bądź posadzeniem blisko mamy, bądź jaką zabawką autonomiczną. W ostatnim czasie zatkała pacyentka tym dzieciom buzię darowizną jakiegoś starego zamku, za który dzieci chętnie zapłaciły ze swoich oszczędności. Chcą jednak koniecznie, żeby im z tego powodu urządzić festyn z flagami, muzyką, iluminacyą i pochodem przez ulice, a stara pokojówka utrzymuje, że w ten sposób najłatwiej, a bez wielkich ofiar, pozyska się serca tych bachorów.

Gdy jeden z lekarzy, chcąc powiększyć swój materyał psychiatryczny, powiedział chorej, że dzieci noszą się z zamiarem opuszczenia jej i rozjechania się w różne strony, pacyentka zerwała się oburzona, poczerwieniała i zagroziła, że zawoła na pomoc sąsiadów, którzy poskromią niesforność rodziny.

Psychiatrzy oświadczyli, że mają już dosyć, a zatem zbliżyli się chirurgowie oraz specyaliści do chorób kobiecych. Badanie promieniami Röntgena wykazało, że chora znajduje się w odmiennym stanie i że zanosi się prawdopodobnie na bliźnięta. Jedno będzie płci żeńskiej, prawdopodobnie „zgoda węgierska“, drugiego płci na razie zbadać nie można. Wygląda na „powszechne głosowanie“, kilku jednak lekarzy wyraziło przypuszczenie, że będzie to hermafrodyta. Obiedwie te młode istoty jeszcze przed przyjściem na świat zdradzają wrogie względem siebie usposobienie, szturkają się i biją, kłócą się o to, kto ma prawo wyjść pierwszy, wskutek tego pacyentka bardzo cierpi. Stara pokojówka, Koło Polskie, gotuje jej ciągle jakieś ziółka na spirytusowej maszynce lojalności, ale ziółka mało skutkują, usuwając jedynie chwilowo bolesne swędzenie w okolicach ciała, dotkniętych autonomiczno-alkoholicznym wyrzutem.

Po tem zbadaniu udali się lekarze na naradę. Najpierw zabrał głos referent komisyi do chorób umysłowych. Orzeczono wybitne zwyrodnienie umysłowe na tle bądź dziedzicznem, bądź z powodu przebytych chorób. W ostatnich czasach wystąpiła silna mania prześladowcza, występująca jako lęk przed własnemi dziećmi. Znawcy są zdania, że pacyentka nie jest zdolną do sprawowania własnych interesów i należy jej ustanowić kuratora. Nie przesądzając wyboru osoby, znawcy wyrażają przekonanie, że najlepszym byłby Wiluś z Berlina albo Nikita czarnogórski. Chirurgowie zaś i położnicy orzekli, że chora nie wyda naturalnym sposobem na świat owych bliźniąt, że więc będzie potrzeba zabiegu operacyjnego, bądź w formie sztucznego spędzenia, bądź za pomocą instrumentów. W tem miejscu jednak przyszła komisya do przekonania, że współczesna technika nie ma jeszcze odpowiednich instrumentów, któreby można na pewne zastosować do tego wypadku.

Zgodzono się zatem, że jedyną operacyą, któraby była możliwą, jest *cesarskie cięcie*. Być może, że operacyę ułatwią „Czyraki“, które w ostatnich dniach ukazały się u pacyentki. Jako środki tymczasowe, polecono zastosować pigułki przeczyszczające na obstrukcyę, zwane synekurami dla prywódców opozycyi.

Na pytanie, czy bliźniaki, przyjdą na świat żywe, lekarze wyrazili się z powątpiewaniem. Choćby urodziły się żywe, umrą niebawem na niedokrewność, względnie wycieńczenie, w każdym razie będą kalekami.

Pacyentce nie wróżą lekarze długiego życia. Wyrażają też zdanie, że należałoby usunąć starą pokojówkę, która jest złym duchem pacyentki.

Co, jako zgodne z zasadami nauki i doświadczenia lekarskiego, do wiadomości publicznej podano.

Vide.

Marya Palińska.

(Do portretu).

Zawitało do nas urocze zjawisko: na scenę krakowską wstąpiła milutka Warszawianka. Publiczność nasza miała sposobność poznać ją w sobotę w „Birbancie“ w roli Cecylii, którą panna Marya Palińska wybrała na pierwszy swój występ w Krakowie, przyjęty przez krytykę jak najlepiej i w dodatku zgodnie z przekonaniem publiczności.

Przygotowana do zawodu scenicznego naprzód przez naszego znakomitego komika Wojdałowicza, a następnie przez sławną tragiczkę polską, Helenę Marcello — debiutowała bardzo wcześnie na deskach „Rozmaitości“ w Warszawie w roku 1898, w roli Heleny w sympatycznym obrazku Zygmunta Przybylskiego pt. „Bzy kwitną“, poczem odtworzyła tytułową postać w komedyjce Kościelskiego „Dzienniczek Justysi“. Wszyscy recenzenci warszawscy po tych występach orzekli jednogłośnie, że panna Palińska ma talent wybitny i może się stać pożądanym nabytkiem dla polskiej sceny. Świetne recenzye zaraz po debiutach utorowały jej drogę do teatru „Rozmaitości“, w którego składzie pozostawała bez przerwy po dziś dnia, grywając z prawdziwem powodzeniem role naiwnych dziewcząt, szczególniej o podkładzie lirycznym — i na taki wydział ról została zaangażowaną do Krakowa.

Nie wątpimy ani na chwilę, że panna Palińska stanie się wkrótce ulubienicą i naszych bywalców teatralnych, których zdołała sobie sympatycznie usposobić zaraz pierwszym występem w sztuce Wilde'a, tyle bowiem wnosi na scenę wdzięku i powabu przez swą świeżość, szczerość i naturalną naiwność.



(Treść na str. 9). Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Doroczny odpust w Mogile: Starożytny kościółek farny z cedrowego drzewa w Mogile.

Zasłużone uznanie.

Dzienniki rozgłosiły przed paru dniami całej biednej Galicyi, że szef krajowej dyrekcyi skarbu, wiceprezydent Witold Mora Korytowski otrzymał wielką wstęgę orderu Franciszka Józefa. Odznaczenie bardzo zaszczytne i w zupełności zasłużone, Pan Korytowski bowiem, objąwszy po p. Jorkaschu. Kochu, niezwykle szlachetnym urzędniku-obywatelu rządy w długim, szarym budynku przy ul. Hetmańskiej we Lwowie, postanowił te rządy upamiętnić, dać je całemu krajowi odczuć i uczuć. I celu swego w zupełności dopiął. Jęczy więc cała Galicya pod ciężarem zmory fiskalnej, jęczy obywatel ziemski i kmiotek na kilku morgach, jęczy właściciel dużej fabryki i drobnego warsztaciku, jęczą kamienicznicy i lokatorowie, jęczą wszyscy. Ale pan Korytowski dostał za to wielką wstęgę. I może być dumnym z tego. Wszak udowodnił rządowi centralnemu, że nie prawdą jest, jakoby Galicya była krajem biednym, udowodnił, że można z niej wycisnąć nietylko pokrycie wydatków krajowych, ale nawet pewną pokaźną sumkę na prezent dla



Nowy naczelnik dyrekcyi skarbu w Krakowie: Radca dworu Dr. Stanisław Szlachtowski. (Treść na str. 3).



(Treść na str. 9). Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Doroczny odpust w Mogile: Stragany przy głównej bramie do kościoła i klasztoru OO. Cystersów.



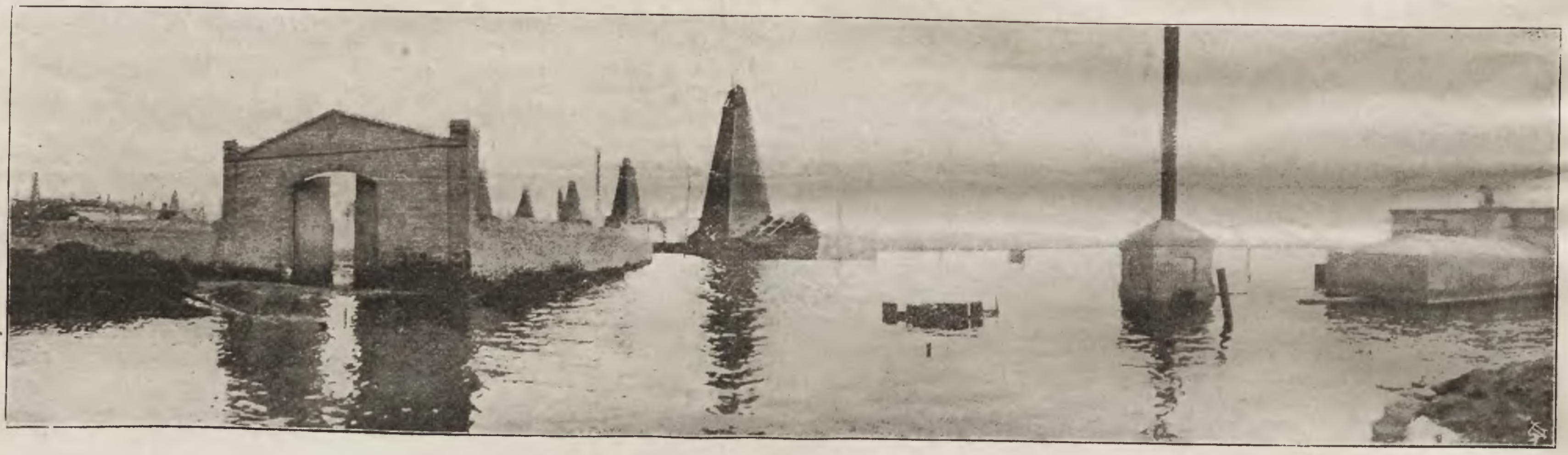
(Treść na str. 12). Fot. E Pierzchalski. Kraków.

Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy kościół w Podgórzu: Zamurowywanie dokumentów.



Zasłużone uznanie: Dr. Witold Mora Korytowski, wiceprezydent krajowej dyrekcyi skarbu.

Wiednia. Ale trzeba być specyalistą w „wyciskaniu", trzeba mieć uszy zamknięte na narzekanie współobywateli, trzeba być w pierwszej linii urzędnikiem, a dopiero potem obywatelem. Pan wiceprezydent Korytowski te wszystkie warunki posiada, więc też i order, czy jego wstęga, słusznie



Pożar kopalni nafty w Baku: Pola, zalane naftą, po wybuchu w jednym szybie.



Pożar kopalni nafty w Baku: Ogólny widok kopalni po

mu się należą. Czy odznaczenie to było celem i marzeniem pana wiceprezydenta Korytowskiego. Gdyby jednak tak było, to należałoby się cieszyć i radować z tego powodu bardzo szczerze i serdecznie. Osiągnąwszy bowiem cel swoich marzeń, zechce może sfolgować choć z lekka nieszczęsnemu krajowi, pozwoli odetchnąć przemysłowi i handlowi naszemu. Jeśli zaś pan Korytowski ma plany bardziej ambitne, dalej sięgające — to smutna dola Galicyi nietylko sie nie skończy rychło, ale może i pogorszy. Boć teraz trzeba się za order zrewanżować...



(Treść na str. 12). Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy kościół w Podgórzu: Czytanie aktu fundacyjnego.

Pożar kopalni nafty w Baku.

Główne ognisko przemysłu naftowego, Baku, leżące na południe półwyspu Apszerońskiego nad morzem Kaspijskiem, było w ubiegłym tygodniu widownią strasznej klęski, mianowicie pożaru, jaki nawiedził kopalnię nafty. Ogień jest tam zresztą żywiołem panującym. Pola, na których się znajdują największe na świecie kopalnie nafty, znane są pod nazwą „pól ogniowych“. Nazwa to najzupełniej właściwa. Opisać tego pola niepodobna Niema tam ani śladu życia, żaden chwast tam nie rośnie, nad polem unosi się atmosfera dziwna, duszna, niepodobna ani do dnia, ani do nocy — a jednak wszystko to na nią się składa. Cisza najstraszniejsza. Nie zabłąka się tam ani ptak, ani robak żaden. Pustka najzupełniejsza. A jednak pole to żyje żywiołem ognia. Z pod ziemi wydobywają się gazy naftowe i w postaci słupów nie wielkich, najwyżej dwułokciowej wysokości, płoną, gasną, znikają, chwieją się z podmuchem wiatru, znów się zapalają, czołgają się po ziemi, nie paląc nic, bo tam niema nic do spalenia. Tłumią się nawzajem, tłoczą, to znów się rozbiegają, niby duchy pokutne, w dziką pustynię zapędzone.

Na takich polach znajdują się, w ostatnich czasach jakby grzyby nagle po deszczu wyrosłe, kopalnie nafty. Charakterystyczny jest widok tych kopalni. Wieża przy wieży, szyb przy szybie, nagromadzone jedno obok drugiego tak gęsto, że zdaleka wygląda to jak jakiś cmentarz olbrzymi, na którym tłoczą się pomniki drewniane, jeden na drugim. A przecie ten skrawek ziemi mieści w sobie niezmierzone bogactwa. Wskutek położenia jednak tych kopalni, wybuchają tam bardzo często pożary, które wyrządzają milionowe szkody.

Pożar, jaki miał miejsce w Baku w ubiegłym tygodniu, był jednym z najstraszniejszych. Zapalił się podczas wybuchu nafty jeden szyb i w mgnieniu oka większa część kopalń stanęła w płomieniach. Ogień przerzucał się z szaloną szybkością z jednego miejsca na drugie, paliło się po prostu powietrze, przesiąknięte gazami naftowymi. Olbrzymie, czarne chmury zawisły nad całym obszarem, który przedstawiał obraz dantejskiego piekła. Pękały z hukiem, do grzmotów podobnym, rezerwoary z ropą, która strugami — nie, rzekami poprostu, płynęła po ziemi, ku morzu, bo kopalnie znajdują się nad brzegiem morza. Trzaskanie ognia, syk palącej się ropy, łoskot walących się wież i szybów, łomot rozlatujących się maszyn wiertniczych, powiększały jeszcze grozę, jaka nad kopalnią zawisła.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze illustracye, przedstawiające ogólny widok płonących szybów, oraz pole, zalane naftą po wybuchu.



Nowy dyrektor opery lwowskiej: Wiktor Grąbczewski.
(Treść na str. 13).



...czas pożaru, jaki wybuchł równocześnie na dwóch punktach.

KRONIKA LWOWSKA.

(Zniesienie propinacyi. — Co będzie? — Coś dla więźni. — Stenograficzne protokoły a ich skutek. — Przemysł krajowy. — Popieranie swoich a dzienniki. — Co się drukuje w lwowskich dziennikach. — Inseraty dla obcych. — Jeszcze o Colosseum. — Skandal. — Co na to policya. — Loże. — Tajemnicza księga. — Debiut Zawiejskiej. — Pożegnanie Kliszewskiej. — Lelewicz jedzie. — Przedwczesna wiadomość. — Jeszcze mięso i cholera. — Zrewidowane hotele. — Najnowsza sensacya. — Mściwe panie. — Jak kocha poeta? — Trudno z paniienkami. — Mężatki i przeszkody. — Oni tego nie rozumieją. — Mąż a poeta. — Bełkotane rymy. — Co tłum mówił? — Za ilu cierpiał poeta?)

Nie da się poprostu opisać radości, jaka zapanowała we Lwowie na wiadomość o zniesieniu propinacyi. Restauratorzy i kelnerzy wyrywali sobie z rąk dzienniki z odnośnymi telegramami, padali sobie w objęcia, tańczyli Cace-walk, podskakiwali aż pod sam sufit, a gościom z uciechy liczyli wszystko p[illegible]trójnie. Święta propinacya wzięła w łeb! Teraz chyba nikt narzekać nie będzie na kiepskie czasy... Piwo i wódka znacznie potanieją, ich jakość z powodu konkurencyi będzie coraz lepsza, gatunków będzie tak wielka liczba, że trzeba będzie sporządzić osobne katalogi z kolorowemi rycinami. Zataczających się obywateli można będzie odtąd widzi[illegible]ć codziennie, a nie jak dotąd, tylko w niedzielę i ważniejsze święta, nawet najubożsi będą mogli pozwolić sobie na upicie się dokładne przynajmniej 2—3 razy na tydzień, ażeby zapomnieć o smutku i nędzy, o świecie bożym, o panu Michalskim, o drożyźnie mięsa końskiego, które do tego czasu srogo podrożeje i o innych sprawach, trapiących duszę lwowskiego mieszczucha, dopóki jest trzeźwym. Jednem słowem — można będzie kąpać się w wódce. Rząd w tym wy adku okazał nam wielką przychylność i zrozumienie naszych potrzeb. Wiedział, że wystarczy dać nam tanie a dobre trunki, a pozyska sobie cały kraj. To też wdzięczność nasza nie ma granic...

Nie mniej ucieszył nas okólnik ministerstwa sprawiedliwości do zarządów więzień austryackich, mający na celu polepszenie doli więźni. Proszę sobie wyobrazić, że w braku lepszej posady, warto będzie teraz dać się zamknąć do kryminału, gdzie człowiek będzie mógł przesiedzieć lat kilka — jak w raju. Okólnik poleca podawać lepszą, obfitszą i bardziej urozmaiconą strawę i całkiem słusznie, bo ostatecznie i bażanty i ostrygi przejeść się mogą więźniowi, więc „wskazanem“ jest urozmaicenie. Ponadto nakazuje okólnik reformę w stroju (całkiem jak w szkołach żeńskich). Nastanie zatem odrębna moda. Zniknął raz na zawsze tzw. „onucki“, a w ich miejsce przyjdą eleganckie wełniane skarpetki, dalej kamaszki, rękawiczki, potem może anglezy, smokingi, klaki i lakierki — słowem, bal, raj, nie kryminał.

Tak to my na każdym kroku postępujemy, modernizujemy się, myślimy o przyszłości.

Taksamo modernizuje się nasza Rada miejska. Oto padła myśl, ażeby wszystkie przemówienia rajców stenografować. Ostatnia mowa radcy Mokrzyckiego zawierała tyle zdrowego humoru i tyle tęgich myśli, że poprostu żałować wypada, iż nie zachowano jej w dosłownem brzmieniu dla potomnych. Tyle przepięknych oracyj przepadło, jak kamień, w wodę rzucony, tyle pięknych myśli nie przyjęło się, a tylko dlatego, że dotąd nie było stenograficznych protokołów. Teraz będzie inaczej. Teraz nic już nie przepadnie, każdy nawet dowcip, puszczony na posiedzeniu Rady, uwieczni się w stenogramie. Będzie to miało i tę korzyść, że odtąd może nasi rajcowie będą ostrożniejsi... Niejeden z mowców naszych przerazi się, gdy przeczyta w dosłownem brzmieniu swoją deklamacyę i poprawi się na przyszłość. Bo u nas wiele, bardzo wiele się mówi, ażeby nazajutrz dowiedzieć się z dzienników, co się właściwie mówiło.

Prócz tego reformujemy przemysł krajowy, a reformują go najbardziej do tego powołani, a więc: p. Getritz, introligator; redaktor „Dźwigni“ i „Lotnych Listków“, p. Korosteński; właściciel hotelu Metropol i teoretyczny przeciwnik „Złotego runa“ przedłużenia propinacyi, p. Krzysztof Janowicz i jeszcze kilku. Na ubiegłą niedzielę zwołano wielki zjazd przemysłowy, po którym się bardzo, bardzo dużo piło na zdrowie przemysłu krajowego.

My wogóle popieramy wszystko, co swoje, a żywą tę akcyę — przyznać to trzeba — zainicyowały i skutecznie dalej prowadzą nasze dzienniki. Same zaś dzienniki czynią to samo. Proszę np. przeglądnąć „wszystkie“ lwowskie dzienniki i wszystkie drukują w tej chwili same swojskie, rodzime powieści polskich autorów, dla popierania swoich... A więc „Słowo Polskie“: „Piękna pani i uprzejmy dentysta“ F. C. Bornanda; „Wiek nowy“: „Czerwony dwór“ (z angielskiego); „Kuryer Lwowski“: „Po powrocie Holmesa z Tybetu“ Conan Doyle'go; „Przegląd“: „Pan szef tajnej policyi“ (z francuskiego); „Dziennik polski“: „Tabakiera kardynała“ Henryka Harlanda; „Gazeta lwowska“: „Ślepy stroiciel“ (z francuskiego); „Gazeta narodowa“: „Księżna z Ermingen“ Prevosta.

Tak...

No, ale my popieramy swoich tak głośno, tak otwarcie, że budzimy popłoch aż — we Wiedniu. Ażeby utrudnić obcemu przemysłowi wstęp do kraju, otwieramy im nasze łamy inseratowe na oścież i każemy sobie płacić za inseraty o wiele, grubo wiele — mniej, aniżeli kupcom i przemysłowcom naszym. Kupiec wiedeński płaci w galicyjskim dzienniku za to samo miejsce o połowę mniej, aniżeli ubogi kupiec galicyjski. I my ciągle święcimy dewizą: „Popierajmy swoich“. Popierajmy tylko tak dalej...

Ta sama prasa postawiła sobie za zadanie popierać na wskróś swojską, patryotyczną instytucyę tutejszą: „Colosseum“. Już dwa razy o tem pisałem i pozwoliłem sobie na uwagę, że nie uchodzi prasie polskiej zachwalać tej instytucyi, która jest przecież tynglem, tem gorszym, że nie wypisuje tego wyraźnie i zwabia do swoich murów, a raczej desek, rodziny całe, wraz z dorastającemi paniennkami. Kto wyczyta w swoim lajborganie, że w Colosseum taki wspaniały i godny widzenia, niesłychanie piękny program, ten przecież raz na miesiąc z ciekawości zaglądnie do tej budy, aby na odpowiedzialność owego dziennika i córeczka ubawiła się „pysznymi“ kupletami tej Mitzi, Florci, czy jak jej tam — i nic dziwnego, że taka młodziutka panienka nudzi potem rodziców, ażeby ją zabrali do Colosseum, gdzie tak ślicznie śpiewają. Jakie to larum było we Lwowie, gdy wystawionio po raz pierwszy „Złote runo“ Przybyszewskiego, ile to wówczas hałasowano, że rodziny już teraz do teatru córek nie prowadzą, bo tam takie seksualne paskudztwa wystawiają. A przecież [illegible]kich dramatach ostatniej doby — *si par[illegible] magnis comparare l[illegible]t* — niema tyle pierwiastku seksualnego, ile w [illegible]jednym pieprznym kuplecie tynglowym...

I nikt tego nie wytknie — owszem, zachwala się to w superlatywach! Ta dziwna wyrozumiałość policyi i dzienników staje się poprostu zagadkową. Bo same loże gratisowe nie usprawiedliwiają jeszcze tych szumnych „recenzyj“... Toć dopiero niedawno działy się w Colosseum straszne sceny, demoralizujące i haniebne, a żaden dziennik ani słówkiem nie pisnął... Paczka wesołych gości zaprosiła do swego stołu paczkę wesołych śpiewaczek i zaczęła się grand-biba. To nic... Ale potem podłe wino poszło do nóg, musujący szampan do głowy, śpiewaczki „het“ pozapominały o swojem „artystycznem“ powołaniu, bibenci o kurtoazyi dla dam i nastąpiły sceny, które nie nadają się do opisania, ale o których wie i policya i dzienniki i sza... Skończyło się na protokole w policyi i na upomnieniu dyrektorów Colosseum, że na wypadek powtórzenia się tych scen, policya zamknie ich budę... Publiczność nic o tem nie słyszała, ale ulica Słoneczna miała co słyszeć przez całą noc. Kilka artystek leczy jeszcze pogruchotane czerepy...

I skąd ta pobłażliwość prasy dla Colosseum? Stąd, że dziennikarze codziennie prawie posyłają po loże... Ale p. Hermann składa pilnie listy dziennikarzy i zapisuje sobie do księgi, któremu kiedy „podarował“ lożę. On im to wszystko przypomni... Ale p. Hermann chodzi po kawiarniach i rozpowiada, że dziś temu lub owemu redaktorowi musiał dać lożę, bo „oni tak żebrzą aż wstyd“... Ale p. Hermann cały swój deficyt, mimo szumnych reklam dziennikarskich, przypisuje owym gratisowym miejscom... Czy to się opłaca? Czy który dziennik wiedeński drukuje recenzye z przedstawień takiego Ronachera, który, bądź co bądź, jest przecie czemś więcej...

Redaktorowie dzienników lwowskich powinni uważać na swoich reporterów...

Z teatru mam do zanotowania debiut p. Maryi Zawiejskiej (córki Konopnickiej) w „Warszawiance“ i „Śniegu“ — debiut dość szczęśliwy, ile że pani Zawiejska wykazała dużo rutyny scenicznej i posiada niski, metaliczny głos, nadający się do ról bohaterek. Druga rola wypadła znacznie lepiej.

Bardzo serdecznie żegnano panią Kliszewską, która udaje się na kuracyę do Abazyi. Lelewicz przed kuracyą wdepnie jeszcze do sześciu miast prowincyonalnych na wieczory humorystyczne. Cała prawie reszta operetki, wraz z chórzystkami, starzejącemi się z dnia na dzień, ma być wcieloną do opery, która zapowiada się doskonale.

Wiadomość o oddaniu urzędu reżysera p. Nowackiemu okazuje się zbyt wczesną. W teatrze o tem jeszcze mało wiedzą, prawie nic. Pawlikowski oddał tylko Nowackiemu „Doktora z musu“ do wyreżyserowania i wystawienia, nic przytem (jak zwykle) nie mówiąc, czy jutro nie da innego dramatu innemu artyście. Zdaje się nawet, że odtąd stałego reżysera w miejsce Solskiego nie będzie. Jest to podobno oddawna życzeniem dyrektora, ażeby lepsi artyści kolejno reżyserowali sztuki. Chodzi tylko o to, kto jaką sztukę dostanie..

Poza tem nie przestaje się u nas mówić o drożyźnie mięsa i o cholerze. Nawet sam pan prezydent Michalski i dużo radnych mają głowy pełne cholery i mięsa, zaczem trudno się dziwić, że na nic stanowczego zdobyć się nie mogą. Na razie zrewidowano 51 hoteli lwowskich, a na kilkunastu hotelarzy nałożono grzywny za rozmaite grzeszki.

Skoro już mowa o grzeszkach, nie mogę nie wspomnieć o najnowszej senzacyi, kolportowanej z ust do ust od tygodnia. Czynię to wyłącznie dla pań, na ich gorące żądanie. Kobiety są mściwe, gdy jednej z nich powinie się nóżka. Dlaczego nie uważała? — pytają zaraz. Skoro była tak nieostrożną, niech będzie głośno! A więc niech będzie głośno...

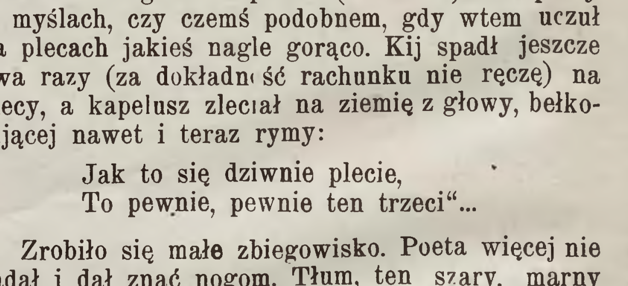
Żył sobie we Lwowie pewien interesujący młodzieniec, a interesującym był z wielu względów. Pochodził z ładnej rodziny, był ładnym chłopcem, miał ładną przyszłość, a nawet — nawet pisywał ładne wiersze. Nie trudno się domyśleć, że tyle ładnych przymiotów musiało znaleźć oddźwięk w niejednem serduszku niewieściem. Pytanie!... Ale dziś, prawdą a Bogiem, trudno szczerze kochać. Panienki odrazu wierzą... Jak to powiadają: pokaż pannie mały palec, a ona zaraz chce całą rękę — ci oddać... Święta prawda! Ani słowa... Cóż więc dziwnego, że taki, niechcący ryzykować młodzieniec, kieruje swoje afekta w stronę mniej niebezpieczną... A taką „stroną“ jest stanowczo — mężatka. Taksamo medytował poeta. On kochał [illegible]e wierszach [illegible]biety wogóle, be[illegible]u, a w praktyce kochał mężatkę jedną w szczególności. Ci poeci są inni w poezyi a inni na ulicy. Tak tedy udowodniłem już — jak mi się zdaje — że najbezpieczniejszem kochaniem, czy przedmiotem kochania jest tzw. mężatka. Jest tylko pewne „ale“... Bywają bowiem „czasami“ pewne przeszkody... Do takich należy zwyczajnie mąż... Tak jest, „rodzony“ mąż bywa czasem przeszkodą, choć co prawda, żaden szanujący się dżentelmen na tego rodzaju rzeczy nie zwykł zbytnio uważać. Do takich należą i poeci. Oni wogóle nie zważają na przeszkody w miłości. Przecież i wiersz często „nie chce“ się rymować, no to go się puszcza bez rymu. A jak czasem urwie się sens? Niech jedzie bez sensu! Wiersz, to nie automobil, który bez benzyny nie pojedzie. Nieszczęście tylko w tem, że nie wszyscy mężowie są poetami... Ot, co! Oni tego nie rozumieją i zaraz gniewają się. Tak było i tu. Nieszczęście chciało, że poeta pokochał żonę niepoety. Trudno żądać, ażeby ktoś, co się ma zakochać, uważał jeszcze, w czyjej żonie kochać się będzie. Zwykle ma się tu na oku tylko samą żonę. Niestety! Przykład ostatni pouczył, że powinno się przy tym wyborze i męża uwzględnić... O tem nasz wieszcz nie wiedział. Szkoda — ale przepadło. Mąż jakimś cudem dowiedział się o wszystkiem...

Ist denn Liebe ein Verbrechen? — pytał poeta. Mąż był innego zdania. Pewnego dnia wyszedł z domu „w towarzystwie“ nieprzyjemnej, bo sękatej laski i zaszedł na ul. Akademicką. Właśnie nadszedł elegancki poeta (fenomen!) zatopiony w myślach, czy czemś podobnem, gdy wtem uczuł na plecach jakieś nagle gorąco. Kij spadł jeszcze dwa razy (za dokładność rachunku nie ręczę) na plecy, a kapelusz zleciał na ziemię z głowy, bełkotającej nawet i teraz rymy:

Jak to się dziwnie plecie,
To pewnie, pewnie ten trzeci“...

Zrobiło się małe zbiegowisko. Poeta więcej nie żądał i dał znać nogom. Tłum, ten szary, marny tłum, długo omawiał zajście, starając się odgadnąć przyczynę. Ale co taki tłum wie?... Tłum, to tłum. On inaczej kocha i inaczej cierpi...

Poeta tym razem cierpiał, wprawdzie nie za miliony, ale za trzech z pewnością. *Kl.*





Birbant,

trywialna komedya w 4 aktach Oskara Wilde'a (premiera z dnia 23 września 1905).

Oskar Wilde, którego dzieła dotknięte były anatemą przez świętoszkowe towarzystwo angielskie z powodu, że autor za zbrodnię przeciw obyczajności publicznej skazany został na cztery lata ciężkiego więzienia — odżył po hańbie i zgonie w nędzy, w dziełach swoich, które arcydziełami nie są, mają jednak, z niektórymi wyjątkami, prawo do krótkiego choćby pobytu w Panteonie literatury świata, z mocy znamienitego talentu, pełnego błysków jasnych, nowych i oryginalnych. Wytrącony z własnej ojczyzny, zrzucony z półek księgarskich, wygnany za bramy teatrów, nie dał się przecież przygrzebać ten talent, w czem dowód najsilniejszy, że był i istniał, że byłby może stworzył dzieła wielkie, gdyby nie tragiczne losy czy wina, nie złamały przedwcześnie wybitnego człowieka.

Wilde, zanim upadł pod ciosem przestępstwa i potępiającego wyroku, był osobistością, na którą zwrócona była uwaga całej Anglii, w każdym razie osobistością może najpopularniejszą w Londynie. Tę popularność zawdzięczał zarówno swemu błyskotliwemu acz rozwichrzonemu i paradoksalnemu talentowi literackiemu, jak i reklamie, którą sprytnie sam sobie robić umiał przez ekscentryczne wybryki, tak bardzo popłatne w towarzystwie angielskiem. Wilde do tego towarzystwa należał, posiadał majątek, był niezależny. Umiał narzucać swoją osobę społeczeństwu, choćby dziwacznem ubieraniem i przebieraniem się w domu czy na ulicy, albo zachowaniem się podczas przyjęć na salonach londyńskiej arystokracyi lub w domu u siebie.

Ten wielki rozgłos na początku jego literackiej działalności, stał się tem większą zgubą dla Wilda w chwili jego upadku. Zanadto był znany i głośny, aby pruderya angielska mogła oprzeć się starym przesądom i zatrzymać książki, noszące jego nazwisko, na półkach bibliotek czy stolikach salonów.

Za granicą ludzie byli mniej wrażliwi, wychodząc z logicznej zasady, że co innego człowiek, a co innego jego dzieło, zwłaszcza zaś dzieło sztuki. To, co pogrzebało Wilde'a w Anglii, zwróciło na niego tem większą uwagę na kontynencie. Książki jego czytano, sztuki grano, a najpiękniejsze dzieło jego umysłu i literackiej kultury „Salome“, obiegło z tryumfem wszystkie prawie sceny światowe.

Wystawiona w sobotę w naszym teatrze komedya p. t. „Birbant“, do arcydzieł nie należy, bo też nie ma do tego pretensyi. Podziwia się w niej robotę sceniczną, dającą ogromne pole twórczości reżysera i aktorów, dowcip i potoczystość dyalogu, humor nerwowy i niespokojny, zjadliwy ale zawsze uderzający w sedno i przekonywujący słuchacza.

Natomiast bajka tej komedyi jest paradoksalną i pustą, skleconą przez autora ze śmiechem, niby dekoracya w teatrze marjonetek, na tle której jednak mówią i działają żywi ludzie, w tym celu, aby to wszystko było bardzo śmieszne i aby nikomu nie przyszło na myśl wziąść na seryo jakiejkolwiek sytuacyi tej sztuki. Treścią „Birbanta“ jest zatem historya jakich wiele: staranie się dwóch młodych ludzi o dwie młode panny i odwrotnie, przeszkody stawiane przez „mamę“ z powodu złego urodzenia przyszłego zięcia, święte oburzene zestarzałych cnót na porywy bujnej i żywej młodości, śmieszność konwenansów, któremi „towarzystwo“ niezręcznie pokrywa swoje powszechnie, bo bardzo ludzkie, utylitarne dążenia.

Wszystko to związane nicią wesołego ustroju, komicznych wydarzeń, otoczone postaciami w miarę karykaturalnemi (pastor, guwernantka, matka) składa się na doskonałą, zabawną całość, która zajmuje zawsze publiczność.

Przedsiębiorstwo teatralne wystawilo tę sztukę starannie. Główne role wykonały: pp. Wolska, Czechowska, Palińska i Modzelewska, z panów zaś: Sobiesław, Kosiński i Zelwerowicz.

Do podniesienia miłego nastroju tego wieczoru przyczyniło się także i to, że w sztuce tej nie było roli dla kobiecego dramatycznego talentu, któryby swoim „ogromem“ przygniatał znękaną publiczność. *Oświk.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

18 (Ciąg dalszy).

Z gorączkowym pośpiechem pochwyciłem pierwsze arkusze i zaraz ogarnęło mnie uczucie przykrego rozczarowania. Zdawało mi się, że to są kaligraficzne ćwiczenia jakiegoś uczniaka. Słowa bez związku i zdania urwane, bezsensowne, powtarzały się raz po raz, tak, że nic nie mogłem z tego wyrozumieć i już chciałem złożyć je w dawnem miejscu, gdy nagle spostrzegłem arkuszyk, który wyglądał na gotowe już wypracowanie! Zagadka była rozwiązana, ale straszna zagadka! Z pięćdziesiąt razy było tam powtórzone zrzeczenie się spadku przez Rudolfa Springera i podpis jego! To fałszerz ćwiczył się w sporządzeniu tego dokumentu, który potem przedstawiono sądowi!

Zacząłem szukać dalej i znalazłem list mej nieboszczki córki, wystosowany do Rudolfa, krótki list, w którym, bez wymówek i wyrzutów, zwracała mu jego słowo. Ten list niezawodnie pisany był jej ręką, ale tego listu Rudolf Springer nigdy zapewne nie otrzymał, bo zaraz na drugim arkuszu dostrzegłem imitacyę jej pisma, a trochę dalej znalazłem list, podpisany jej imieniem, lecz sfałszowany!..

A jaka była treść tego listu! Teraz cały ogrom zbrodni popełniony na Grecie i Rudolfie stanął mi przed oczyma! W tym sfałszowanym liście Greta pisała do Rudolfa, któremu przysięgła wieczną miłość, że nie może być jego żoną, bo wprzód pokochała innego, za którego nie mogła wyjść, bo był zbyt ubogi, a ona obawiała się ubóstwa. Gdy jednak teraz pierwszy jej narzeczony (nazwisko było dyskretnie pominięte) otrzymał spadek i bardzo rentowną posadę w tem mieście, ona nie myśli sprzedawać się Rudolfowi i ma nadzieję, że Rudolf zwróci jej słowo, gdyż ona jedynie z tamtym może być szczęśliwą!..

Więc teraz zrozumiałem dlaczego Rudolf nie usprawiedliwiał się, dlaczego zwrócił Grecie słowo i sam opuścił ojczyznę!

W pierwszej chwili chciałem krwawo zemścić się na obu zbrodniarzach, a potem oddać się w ręce sprawiedliwości. Ale wnet zawahałem się. Nie wiedziałem jeszcze, kto był właściwym winowajcą. Wprawdzie i doktór i Fraciszek i jego żona byli współwinnymi, ale kto był fałszerzem, kto dopomógł im w przeprowadzeniu tych planów i tej zbrodni, to pozostało dla mnie jeszcze zagadką, a wiedziałem dobrze, że ani doktór, ani Franciszek nie mieli żadnych zdolności do naśladowania pisma!..

Postanowiłem więc czekać i starać się o wyjaśnienie tej zagadki, a potem, gdy wszystkich bę[illegible] ręku, załatwić się z nimi! A prócz tego musiałem mieć lepsze dowody niż te papiery, na których nie mogłem oprzeć mojego oskarżenia! Schowałem więc je napowrót do [illegible]niczej skrytki i niespostrzeżony powróciłem do domu.

Był człowiek, któremu równie jak i mnie zależało na zemście, któryby musiał być moim sprzymierzeńcem — żył jeszcze Rudolf Springer. Postanowiłem więc wyszukać go, ale jeśli myślałem, że to nie napotka na trudności, grubo się omyliłem! Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie on się znajduje i wszystkie listy, które na chybił trafił wysyłałem doń do Ameryki, powracały z dopiskiem „adresat nieznany“!..

I tak mijały lata za latami, a jednak nie traciłem nadziei, że doczekam się jeszcze chwili, w której ujrzę tych zbrodniarzy w kajdanach przed sądem i posłyszę sprawiedliwy wyrok!..

Przed paru miesiącami wpadł do kancelaryi Harrasa Franciszek Springer z taką samą wystraszoną miną, tak samo wzburzony, jak ongiś w tym dniu, w którym skonał Bernard Springer. Szybko postarałem się oddalić młodych pisarzy i zacząłem podsłuchiwać pod zamkniętemi drzwiami. Radość napełniła me serce! Dowiedziałem się, że Franciszek otrzymał list, zawiadamiający go o powrocie brata Rudolfa. Posłyszałem też, jak twój stryj błagał doktora Harrasa, żeby go ratował!.. Głośna, ożywiona zrazu rozmowa ucichła. Łotrzy zaczęli naradzać się szeptem i już niczego więcej dowiedzieć się nie mogłem!..

Kilka dni cieszyłem się tą myślą, jak straszna kara spotka zbrodniarzy, gdy zjawi się Rudolf Springer i gdy zażąda od nich rachunku za swoje zniszczone szczęście, za śmierć Grety, a niepokój Franciszka Springera i jego żony usprawiedliwiały moje marzenia. Jeden tylko doktor Harras był zawsze wesoły i uśmiechnięty i pewnego poranka wezwał mnie do swej kancelaryi.

— Przykrą nowiną muszę podzielić się z panem, panie Najpert — rzekł do mnie z powagą — przykrą, bo znałeś pan zmarłego i chyba wybaczyłeś mu już to, co wycierpiałeś przez jego lekkomyślność. Właśnie otrzymałem z Hamburga list od pana Franciszka Springera, w którym donosi mi, że jego brat Rudolf zaraz po przyjeździe z Ameryki padł ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego wypadku! Pozostała po nim dorosła córka sierota! Zdaje mi się jednak, panie Najpert, że nie potrzebuję cię prosić, abyś nigdy nie wyrzucał temu biednemu dziewczęciu, które nic ci przecie nie zawiniło, postępowania jej nieszczęsnego ojca! Przyrzecz mi, Najpert, że jej nigdy nawet o tem nie wspomnisz!...

Co działo się wówczas ze mną, tego żadne pióro nie jest w stanie opisać! Przygryzłem wargi aż do krwi, żeby nie rzucić mu wprost w twarz słowo: „Morderco!“... Opanowałem się jednak, nie zdradziłem się ani słówkiem, ale gdy powróciłem do domu, nie wiedziałem sam, co mam uczynić. Dwadzieścia lat myślałem o powrocie Rudolfa Springera i do tego powrotu przywiązywałem wszystkie moje nadzieje, a teraz dopiero uczułem, że jestem za słaby i za stary, aby sam rozpocząć z nimi walkę. I potem zobaczyłem ciebie, pani, w biurze tego łotra. Widziałem bojaźń, jaka malowała się w twej twarzy, gdy wchodziłaś do jego kancelaryi i straszne cierpienie, kiedy ją opuszczałaś!... Otwierałem pani drzwi, a na usta rwały mi się słowa:

— Twój ojciec jest niewinny! Okłamano go, okradziono i zamordowano!...

A potem chciałem rzucić się na tego łotra Harrasa i zamordować go bez miłosierdzia! Ale jestem stary, słaby!... Powstrzymałem się i potem chciałem w najbliższych dniach ustnie albo listownie powiadomić cię o wszystkiem. Że dotychczas zwlekałem, to nie miej pani żalu do mnie. Najpierw wiedziałem, że z początku strzedz cię będą pilnie, a potem choroba powaliła mnie na łoże i już myślałem, że nigdy nie będę mógł powiadomić cię o tem wszystkiem, gdy raz przez okno dojrzałem cię na ulicy... Wahałem się, obawa dręczyła mnie, czy zechcesz odwiedzić i wysłuchać chorego. Ale ty dobra, poczciwa, przyszłaś i teraz wiesz — wszystko!... wszystko wiesz dokładnie!...

Starzec wyczerpany, ciężko dysząc, opadł na poduszki, a Helena bez ruchu, jak martwa, siedziała dalej. Wtem ktoś zapukał do drzwi i gospodyni wniosła lampę. Teraz dopiero młode dziewczę zauważyło, że Najpert leży bez czucia z przymkniętemi oczyma w swoim fotelu. Z krzykiem zerwała się z krzesła w przekonaniu, że starzec wyzionął ducha, ale gospodyni uspokoiła ją, zapewniając, iż jej lokator często ostatnimi czasy wpada w taki stan znieczulenia, który kończy się głębokim snem, pokrzepiającym jego siły.

Helena oprzytomniała i zwróciła się ku drzwiom.

— Powiedz mu pani, gdy przyjdzie do siebie, że jutro go znowu odwiedzę! — rzekła i kładąc na stole swój woreczek z pieniądzmi, dodała ze smutnym uśmiechem — a te pieniądze weź pani, kup mu wina i staraj się, aby mu na niczem nie zbywało! Mam nadzieję, że jutro więcej pani przyniosę!...

Gospodyni podziękowała jej imieniem chorego i potem przez ciemny kurytarzyk wyprowadziła na ulicę. Biedna sierota powoli, jakby we śnie, wracała do domu, nie przeczuwając nawet, co się dzieje u Springerów i jakie potworne sieci znów na nią zastawiają...

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Zabawa ludowa.

Humoreska.

Byłem jednym z pierwszych, którzy przystąpili do klubu, mającego na celu ożywienie ruchu towarzyskiego w Krakowie. Na walnem zgromadzeniu członków wybrano mnie do wydziału. Wydział otrzymał energiczne zlecenie, aby życie towarzyskie ożywił na każdy sposób i za każdą cenę. Skutkiem tego i ja znalazłem się w dość fatalnem położeniu. Nie mogę aranżować tańców i rautów, bo nie tańczę wcale. Gdyby mi zaś dano do wyboru co wolę, czy zabawiać rozmową damy, czy grać w bridge, to z całą szczerością wybrałbym to drugie. A przecie jako wydziałowy musiałem coś robić. To też ucieszyłem się niepomiernie, gdy mię delegowano do sekcyi, starającej się o ożywienie zabaw ulicznych.

Z właściwą memu umysłowi bystrością, zrobiłem spostrzeżenie, że tak życie towarzyskie, jak i zabawy uliczne podniosłyby się, gdyby dzienniki nasze były mniej ospale redagowane. Od poniedziałku nie było ani jednej senzacyi. Na lekarstwo nie masz skandalu. Na wystawie sztuk pięknych nie wystawiono ani jednej babraniny, któraby, jak zwykle, w proch starła Stwosza i Matejkę, wielcy poeci krakowscy w tym tygodniu nie napisali ani jednej nowożytnej kreacyi scenicznej, od której, jak zwykle, zaczęłaby się polska kultura. W cukierni w Sukiennicach siedziałem zrozpaczony, gdy w tem...

Wpadł na mnie prezes komitetu. Począł mi czynić gorzkie wyrzuty, zarzucając niedbalstwo i opieszałość. „Jeśliś pan przyjął godność wydziałowego, powinieneś coś robić. My słomianych ani malowanych wydziałowych nie potrzebujemy. Postaram się, że usuną pana z wydziału, a nadto balotowaniem tajnem wyrzucą z klubu".

Wypadłem z cukierni. Byłem w najwyższym stopniu wzburzony. Trzeba coś robić. Robić na gwałt. I za każdą cenę zrobić. Spojrzałem na rynek. Ludność w istocie ospała. Snują się ludzie, jak ćmy. Przedemną pomnik Mickiewicza i kościół Maryacki. Wieża strzela do nieba prosta, jako świeca. Nic więcej prostopadłego w życiu nie widziałem. Stanąłem pod gotycką arkadą Sukiennic i mówię do przechodzącego, znajomego mego, inżyniera:

— To nie jest pion.

— Co nie jest pionem?

— Pytasz się pan? Spójrz tylko.

— Widzę. Pomnik i wieża Maryacka.

— Otóż ta wieża...

— Cóż pan w niej widzisz?

— To nie jest pion.

— Jakto, panie?

— Poprowadź pan prostopadłą linię od najwyższej iglicy ponad koroną do stóp wieży.

— Poprowadziłem.

— Prostopadła linia nie padnie na środek baszty, lecz na jej bok.

Inżynier patrzył na wieżę, oczy jego latały z góry do dołu, wreszcie zbladł i mówi:

— Pan masz trochę słuszności.

— O czem panowie mówicie? — spytał się doktor, który mię leczył na reumatyzm w lewem kolanie.

— To nie jest pion.

Tymczasem inżynier chwycił się nagle za kieszeń.

— Co za szczęście...

— Widzisz pan w tem szczęście, że się wieża Maryacka wali?

— Nie w tem, panie. Cieszę się, że mam przy sobie wagę pionową.

Dobył z kieszeni trójkąt z jedwabną nitką, na końcu nitki wisiała ołowiana kula. Podniósł trójkąt w górę, nić puścił; kula huśta w powietrzu. Spzstrzegli ludzie manipulacye, dwudziestu ludzi zbiegło się koło nas, wytrzeszczając oczy na inżyniera. Kulka ustatkowała się, inżynier zmrużył jedno oko, cięciwę nitki z wieżą porównuje...

— Zupełny pion.

— Łudzisz się pan. Kulka się huśta.

— Ależ widzę, że pion.

— Pan z bliska tego widzieć nie możesz. Ja panu wagę pionową potrzymam, pan zdaleka poznasz stosunek nici do położenia wieży.

— Uczyń to pan.

Pobiegłem do cukierni po krzesło, wstąpiłem nań i ująłem trójkąt, wysoko rękę wznosząc. Naokoło nas było już trzystu ludzi. Kulka huśtała się długo, uspokoiła się wreszcie.

— Jest pion — mówił inżynier.

— Widzę, jest pion — mówił profesor, który rękę zwinął na kształt trąbki i położenie nitki z prostopadłością wieży porównywał. Inżynier zwinął wagę piona i poszedł. Ja rzekłem do profesora głośno:

— Nie chcę się patrzeć na tę straszliwą tragedyę — i także poszedłem.

Poszedłem do kawiarni, aby się herbaty napić. Dobrzem zrobił. Nie lubię natłoku i ścisku. Patrzę przez okno... Na rynku stało już trzy tysiące ludzi. Zjadłem kilka ciastek, wypaliłem trabucos. Z codziennym moim partnerem zacząłem grać w szachy. Przegraliśmy ośm rozgrywek. W ostatniej partyi dałem mu mata świetnem posunięciem konia. Sprzykrzyły mi się wreszcie szachy. Trzeba iść z kawiarni. Wyszedłem i zobaczyłem rzeczy nadzwyczajne.

Motłochu zgromadzonego na rynku nie przeliczysz. Na placu Maryackim pospólstwo deloźuje dwie kamienice. Meble wyrzucają przez okno. Słucham, co ludzie mówią.

— Powiedz mi właściwie, co się dzieje?

— Wieża Maryacka się wali.

— Jakto?

— Ano tak, że się wali. Lada sekunda straszna rzecz się stanie.

— Ależ wieża prosto stoi.

— Co pan wiesz?! Tu było trzech inżynierów. Badali pion wieży Maryackiej i mówili, że będzie tragedya.

— Oczywiście, że będzie. Wpatrz się pan tylko dobrze, wieża ta stoi całkiem krzywo.

— Runie.

— Będzie zabawa taka, jak była w Wenecyi. O dziewiątej rano Campanilla stała, o kwadrans na dziesiątą już wieży nie było.

— Ciekawym na którą stronę ona poleci?

— Jakto na którą? Nie widzi pan, że domy delożują. Władza bezpieczeństwa kazała te dwa ludziom opuścić.

— Jak wieża runie, to w proch zetrze te dwie kamienice.

— Głupstwa pleciecie, moi ludzie. Widzicie przecie, że trębacz gra hejnał. Gdyby wieża miała się zwalić, byłby dawno z wieży zlazł.

— No oczywiście. Wieża stoi zupełnie prosto.

— A więc czemuż te gromady ludzi tu się gapią?

— A czy ja wiem?

— Coś się stać musiało.

Do grupy rozmawiających ludzi zbliżył się jakiś garbusek.

— Wy nie wiecie, co się stało?

— Nie wiemy.

— Straszna rzecz się stała.

— Co takiego?

— Ja nic nie powiem, to tylko rzekę, że stała się rzecz, od której włosy powstają na głowie.

— Ale co? Ale co?

Garbusek znikł, gromada się rozbieżała, aby się dowiedzieć, co się właściwie stało? I ja poszedłem za nimi. W tłumie pomruk. Gromada ludzi rozmawia. Dolatują mnie zdania urywane:

— Ile?!!

— Dwanaście milionów!!!

— Dwanaście milionów ukradli w Kasie oszczędności.

— Kto ukradł?!

— Jakto kto?! Ci, co siedzą przy wielkim ołtarzu.

— To nieprawda.

— Przecie ludzie na własne oczy widzieli, jak dwóch dyrektorów, skutych w kajdany, do kryminału prowadzono.

— Tere fere! Oni głupi czekać na to, aż ich skują. Już są dawno w Ameryce.

— No dobrze. Ale skądże tyle ludzi na rynku?

— Czy ja wiem?

— Ale tam wiedzą.

— Chodźmy do przystanku tramwajowego.

Koło przystanku była wielka ciżba. Tłum wrzał. Ludzie zaciskali pięście.

— Oni ukryją! Oczy nam zamydlą!

— Jakbym ja kogoś zamordował, tobym wisiał.

— Cóż się właściwie stało?

— Pan nie wiesz?

— Nie wiem.

— Żydzi potrzebowali krwi chrześciańskiej na mace...

— No i co?

— Pytasz się pan? Patrz się pan, co się w domu przy placu Maryackim dzieje?

— Ależ tam się nic nie dzieje! Zupełnie nic.

— No naturalnie, że się teraz już nic dzieje. O, ja wierzę. „Aliance Israelite" wysypała dwieście tysięcy koron, a skutkiem tego nic się nie dzieje.

— Jakto?

— Przekupione! Wszystko przekupione. Policya, doktorzy, sąd, prokuratorya!

— Zatem było śledztwo?

— O!!! Było!!! Czemuby nie miało być? Gdy się wydało, że w piwnicy stała się zbrodnia, policya zrobiła śledztwo. Ale gdy policya zaczęła jedno śledztwo, to zawezwany telegraficznie reprezentant „Alianse israelite", dr. Goldstein, zaczął robić drugie śledztwo.

— No i co?

— Także zrobił śledztwo, że przyszedł telegram z Wiednia, aby wstrzymać urzędowe dochodzenie.

— Jakto?

— Chodzi o to, żeby zaburzeń nie było. Wiedeń więc telegraficznie umorzył rzecz kazał.

— To nie może być!

— Jakto nie może być? Mówił to na mieście woźny telegraficzny, który miał w ręku depeszę. Za kilka godzin po zamordowaniu dziewczyny...

— A więc zamordowano dziewczynę?!!

— Tak jest. Poderżnięto ją pod szyję, rytualnie, a potem cewką puszczono z niej krew.

— Gdzież trup dziewczyny?

— Gdzie trup? Spytaj się pan o to dr. Goldsteina. Trupa już niema.

— Gdzież jest ten Goldstein?

— Także go niema.

— A piwnica?

— Piwnicy także niema. Zatuszowali!

Dyalog przerwał krzyk, dolatujący od strony pomnika. Tam na podwyższeniu stał jakiś mówca. Rozwinął czerwoną chorągiew i mówił:

— Towarzysze i towarzyszki! Moloch kapitalizmu ssie wasz pot, chłepce waszą krew!

Tylko tyle słów mowca zdołał powiedzieć. Bo zapanowało wzburzenie ogromne. Fakt, że socyalista przemawia, poruszył do żywego stowarzyszenie katolickich stróżów, którzy jak jeden mąż na socyalistę uderzyli. Strącono go, miejsce jego zajął wiceprezes stowarzyszenia. Ale i jego mowa się niepodobała. Gdy zbyt krzykliwie zaczął agitować, aby zgromadzeni urządzili między sobą składkę na świętopietrze, zawrzała w żydolibczałach krew. Uderzają na siebie wrogie szeregi, leci policya z dobytemi szablami, zaingurowana przezemnie zabawa ludowa jest teraz w całej pełni. Dwóch ludzi potłuczono, ośmiu agitatorów zamknięto pod telegraf, szesnastu poranionych policyantów wiozą do szpitala wojskowego.

* * *

Tego samego dnia późnym wieczorem było posiedzenie naszego klubu. Przed posiedzeniem czytaliśmy dzienniki. Miały one dziś treść bardzo barwną i ożywioną. Gdy wydział się dowiedział, że ja jestem inicyatorem dzisiejszej zabawy ludowej, byłem przedmiotem serdecznych owacyi.

Mimo to jednak urząd członka sekcyi dla ożywienia zabaw publicznych złożyłem.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył W. K.

Pierwszy drugi — w naszą ziemię
Nieraz wpadał w siłę zbrojny;
Lecz go zgromił, pobił w ciemię,
Król Jan III — wódz tej wojny.
Trzy dwa — z oczu łzy wyciska...
Nie z radości, ani z bólu...
Całość — rośnie u nas w polu —
Znają dobrze ją ludziska.

Rozwiązania z Nru 38.

Rebus: Przyjaźń wkłada na człowieka nieraz ciężkie obowiązki.

Szarady: Ameryka. — Turkawka. — Paulina.

Logogryf: Jan Zacharyasiewicz. — Omanka. — Zakryte skarby.

Logogryf II.: Michał Bałucki. — Zamki na lodzie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Stadnik Grabiny, M. Rożański Nowy Sącz, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, Remiszewski Załawie, Kuszpeciński Kraków, M. Arberbauer Lwów, A. S. Bassara Niwiska, H. Zielińska Manajów, B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Opolska Czarny Dunajec, T. Domain Sanok, A. Ziembiński Lwów, K. Szelągowski Poznań, D. Ruszewicz Kraków, St. Dzbański Kraków, J. : obylański Honiatycze, Duszyński Niepołomice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Ziembiński Kraków. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy: **„Wieści z nikąd"**, Wiliama Morris.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.